



moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 styczeń 2019, nr 32



Gmina w obiektywie

Bywają takie noce, których warto nie przespać.
15 stycznia przez kilka chwil padał piękny,
ciężki śnieg, a światło ulicznych latarni stworzyło
złudne wrażenie bajkowego świata.
Rano po bajce nie było już śladu.

Władysławów podczas jednej styczniowej nocy.



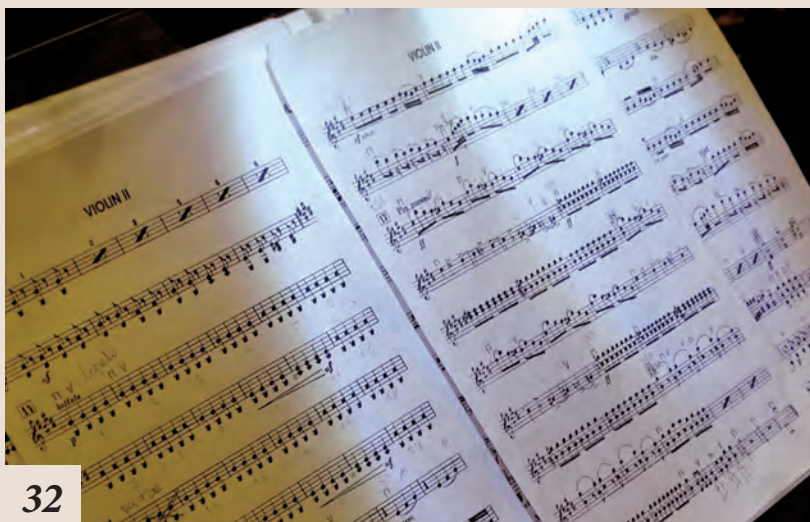
20



26



7



32



43

Spis treści

- 6 Od Redakcji
- 7 Kwiaciarka z „Niezapominajki”
...jestem otwarta na ludzi, a oni to widzą i czują
- 13 Dam sobie radę
...znałem nazwisko Boniek.
Wiedziałem też, kim był Adam Mickiewicz
- 18 Z serduszkim w tle
...pomaganie jest dziecinnie proste
- 20 Mój numer jeden
...Kinia zawsze miała świetne pomysły
- 26 Dobrych snów
...czym jest i jaka jest jedna trzecia życia człowieka
- 32 Grają, bo lubią
...tak naprawdę orkiestrę założyła Magda
- 38 Zaczynałem od żaka
...dla takich chwil warto pracować i warto grać
- 43 Ręczna robota
...marzyłem o składanym nożu Gerlacha
- 48 Świat się bawi
...zanim nastanie pora Wielkiego Postu



13



18



38



Od Redakcji

Zaczynamy kolejny rok z nadzieją, że będzie lepszy niż miniony, bo na tym między innymi polega optymizm, który mnie osobiście niezmiennie w życiu towarzyszy. Sam fakt, że po zimie przyjdzie wiosna, świat się zazieleni i przyroda obudzi się do życia, musi napawać optymizmem. Zapewniam, że z nadzieją i optymizmem żyje się znacznie łatwiej.

Byliśmy w szkole w Mysiadle, gdy po raz trzeci grała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Obserwowaliśmy uczniów, którzy podczas przerw w lekcjach wrzucali do puszek drobne pieniądze, bo wiedzieli, że pomaganie jest dziecinnie proste i chcieli w tym wielkim pomocowym poruszeniu mieć swój udział. Patrzyliśmy na nauczycieli, którzy podchodzili do kiermaszowego stolika i zając się słodyczami, wrzucali do puszek pieniądze. Piękny, optymistyczny widok. Wielka radość, bo zebrano więcej pieniędzy niż przed rokiem.

Pomyśleć, że znalazł się ktoś, kto tę radość zamordował.

Niewyobrażalne, do czego zdolni są ludzie.

Do czego może prowadzić nienawiść.

Przekonaliśmy się o tym, oglądając gdańskie Światelko Do Nieba, gdy na oczach milionów ludzi został na scenie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zamordowany prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Kilka godzin wcześniej z taką samą puszką i taką samą radością jak wolontariusze szkoły w Mysiadle zbierał pieniądze.

Brak słów.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069



W kwiaciarni „Niezapominajka”, mimo że w kalendarzu niezbyt popularne imieniny Marcjanny, ruch jak na dworcu. Co chwilę otwierają się drzwi i zależnie od stopnia zażyłości z właścicielką, padają gorączkowe pytania: „Słyszałaś, podobno zamykają Krasickiego?”, „Słyszała pani o tym, że mają tunel pod przejazdem budować”, „No wiesz, jak zamkną ulicę, to trzeba się będzie stąd zwijać” i tym podobne. Słów nieparlamentarnych, jakie przy tej okazji padają, nie cytujemy.



Kwiaciarka
Z „Niezapominajki”

*...chciałam wyrwać się ze wsi,
jaką wówczas była Nowa Iwiczna*



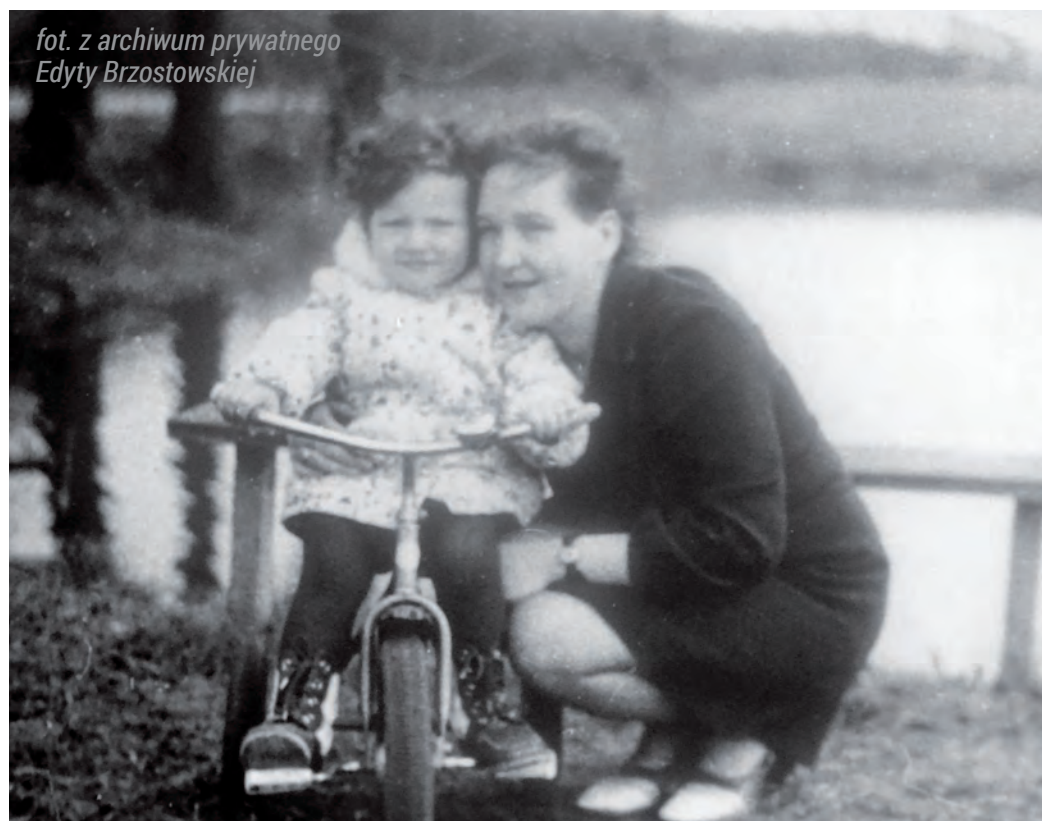
Pani Edyta Brzostowska, starszym mieszkańcom Nowej Iwicznej znana jako córka Ireny i Franciszka Tyszkiewiczów, ze spokojem wysłuchuje zdenerwowanych kobiet. Tłumaczy, że słyszała, ale według niej to nie jest prawda, że na taką inwestycję jak tunel pod ulicą potrzeba setek milionów, że owszem, był taki przedwyborczy pomysł jakiegoś radnego, ale jest już po wyborach i po obietnicach. Trzeba wziąć na wstrzymanie i spokojnie się o wszystkim dowiedzieć.

Kim jest właścicielka kwiaciarni, która cieszy się zaufaniem tak wielu ludzi, że z kłopotami przychodzą do kwiaciarni?

Krótkie wspomnienia

– Do Nowej Iwicznej trafiłam z rodzicami, gdy miałam pół roku. To był rok 1974 i moi rodzice, którzy pracowali na kolei i mieli służbowe mieszkanie w Konstancinie, przeprowadzili się do Nowej Iwicznej. Wzięli w dzierżawę szklarnie, które były wzdłuż ulicy Polnej w Mysiadle i prowadzili je przez sześć lat.

Tu można zadać pytanie, czy z pracy na kolei łatwo przestawić się na produkcję rolniczą, ale w przypadku moich rodziców sprawa była dość prosta. Oboje kończyli szkoły rolnicze. Tata w Aleksandrowie Kujawskim, a mama w Lubiejewie.



*fot. z archiwum prywatnego
Edyty Brzostowskiej*

Praca na kolei była chwilową przysgodą młodych ludzi, którzy chcieli się usamodzielniać, a na kolei zarobki w tamtych czasach były stosunkowo dobre.

Gdy rodzice zarobili na szklarniach trochę grosza, a ja miałam sześć lat, kupili w Nowej Iwicznej na ulicy Granicznej gospodarstwo. Pamiętam, że gdy szłam do zerówki, to akurat się przeprowadzaliśmy do domu, w którym mieszkamy do dziś. Pamiętam też starą, trzyklasową szkołę z kaflowymi piecami i mleko z kozuchem.

Potem miałam do wyboru szkołę w Lesznowoli lub w Dąbrówce. Wypadło na Dąbrówkę, bo szkoła była bliżej i dojazd do niej był lepszy.

Jak wielu moich rówieśników i pewnie wiele dzieci z rolniczych rodzin, moja dalsza edukacyjna droga prowadziła do technikum ogrodniczego na ulicy Belskiej w Warszawie.

Chciałam wyrwać się ze wsi, jaką wówczas była Nowa Iwiczna, więc mając do wyboru technikum w Piasecznie na Chyliczkowskiej i w Warszawie na Belskiej, wybrałam Warszawę. Spełniłam swoje marzenie, bo marzyłam o wielkim mieście.

Powiedziałam, że Nowa Iwiczna to była wieś, bo na Granicznej było może dziesięć domów i dookoła wszędzie same szklarnie. W Mysiadle – szklarnie olbrzymiego kombinatu ogrodniczego PGR. W Lesznowoli – szklarnie. Jedno wielkie

zagłębienie ogrodnicze, gdzie uprawiano głównie kwiaty.

W Mysiadle na rogu Puławskiej był bar Sonia, sklep chemiczny, sklep z odzieżą – i to było centrum handlowe. Na ulicy Krasickiego stało kilka domów, a lokal, w którym mam kwiaciarnię, jest po niemieckich osadnikach w budynku jeszcze sprzed wojny.

Skończyłam technikum na Belskiej i nigdy nie żałowałam tego wyboru, bo poziom tej szkoły był wysoki. Poza tym szkoła zapewniała wspaniałe praktyki, na przykład w szklarniach Rady Państwa, w wielkich gospodarstwach ogrodniczych, stwarzała możliwość kontaktów z fajnymi ludźmi, pozwalała poznawać nowe technologie produkcji i hodowli.

Po szkole na Belskiej nie pracowałam w gospodarstwie rodziców, bo to był czas, gdy produkcja pod

szkłem stawiała się coraz bardziej nieopłacalna. Kwiaty nie wytrzymały konkurencji z masówką sprowadzaną z Holandii, szklarnie padały jedna po drugiej, a w naszych było już pusto.

Doprowadziła też do tego zmiana systemu podatkowego. Dawniej podatek płacono od powierzchni zagonu, na którym uprawiane były warzywa i kwiaty, a potem wprowadzono podatek od całej powierzchni szklarni, co bardzo podniosło koszty produkcji. Dodatkowo skoczyły w górę ceny gazu, a prawie wszystkie szklarnie były wtedy nim ogrzewane. Zresztą, nasze gospodarstwo było jednym z pierwszych, w których pojawił się gaz.

Co uprawiali rodzice? Najpierw zieleń do dekoracji bukietów. Potem wszelkie nowalijki: rzodkiewkę, młodą kapustę, pomidory i ogórki.

Z kwiatów – róże i gerbery. Jako jeden z pierwszych uprawialiśmy pod szkłem winogrona odmiany Skarb Panonii. Była to odmiana charakteryzująca się bardzo dużymi, o wadze nawet do półtora kilograma kiściami i bardzo przyjemnych w smaku jagodach. Mogła spokojnie konkurować z winogronami importowanymi.

Mój tata uwielbiał pracę w szklarni i był entuzjastą nowości. Patek wsadził w ziemię i mu z patyka coś rośnie. Nie żyje już ponad trzydzieści lat, a sąsiedzi jeszcze wspominają go jako człowieka wiecznie pracującego w ogródku. Jemu wystarczyła ziemia i roślinki. Do spraw technicznych głowy nie miał. Od tego była mama.

Nawet nie wiem, czy w końcu zrobił prawo jazdy, ale z całą pewnością samochodu nie prowadził. Na giełdę jeździła mama.





*...sama maluję torebki,
wyklejam, szukam zawsze
czegoś nowego*



Po skończeniu technikum ogrodniczego szukałam pracy w Warszawie. Poczułam urok wielkiego miasta i nie wyobrażałam sobie pracy gdzie indziej. Najpierw razem z koleżanką zaczęliśmy się w firmie, która miała zajmować się pielęgnacją ogrodów, ale to nie był wybór trafiony. Po zbiorze owoców podziękowaliśmy za pracę i ja znalazłam zatrudnienie w pierwszym w Warszawie McDonaldzie na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej.

Po trzytygodniowym okresie próbnym powiedziałam: „Dziękuję, nigdy więcej”. Chłopak, z którym się spotykałam, mówił, że po tej pracy pachnę jak frytka, i to niestety nie był komplement. Zaczęłam się rozglądać za pracę w kwiaciarni.

Pierwsza, w której pracowałam była przy Dworcu Centralnym. Dwie następne też. Czwartą była kwiaciarnia

na Ursynowie. Kolejna, w której zakotwiczyłam się na całe dziesięć lat znajdowała się na Ochocie przy Placu Narutowicza.

Naprawdę pracowałam tam z przyjemnością, bo wtedy, po dwutysięcznym roku zaczynała wchodzić do kwiaciarni florystyka, sztuka dekoracji i robienia kompozycji. Jeździliśmy z szefową na targi florystyczne, pokazy, zwoziłyśmy różne nowości, folie, wstążki, susze, sztuczne rośliny do dekoracji i inne wchodzące na rynek kwiaciarski gadżety. Można było poszaleć i polubiłam to szaleństwo.

Ponieważ nie w życiu nie trwa długo, z czasem entuzjazm szefowej do nowości i rozwoju opadł, a ja nie znosząc bez ruchu, odeszłam i robiłam sobie przerwę, bo dziecko poszło do szkoły i trzeba się było bardziej zająć jego edukacją.

Co komu pisane

– Mówią, że co komu pisane, to go nie minie, i na moim przykładzie można to spokojnie zilustrować. Osiemnaście lat temu, gdy jeszcze nie byłam mężatką i pracowałam we wspomnianej kwiaciarni na Placu Narutowicza, miałam chłopaka.

Była zima, czwarty styczeń 1999 roku, gdy dostałam wiadomość, że na ulicy Nowowiejskiej wpadł pod tramwaj. Andrzej szedł wieczorem wzdłuż torów tramwajowych i jakimś cudem jadący tramwaj zaczępił go i wciągnął pod drugi wagon.

Było cienko, ale przeżył. Pewnie dlatego, że był młody. Ze zmiażdżoną nogą pogotowie zabrało go do szpitala na Barskiej. Wybiegłam z pracy i pognałam na Barską. Choć nie byłam rodziną, gdy pielęgniarka usłyszała, że jestem narzeczoną, wpuściła mnie do niego, bo stan był bardzo poważny.

Groziła mu amputacja nogi, ale lekarze dali mu szansę. Podczas narady zdecydowali, że zastosują w jego leczeniu nową metodę, która wtedy pojawiła się w Polsce. Była to metoda radzieckiego lekarza Gawriiła Ilizarowa, w której do scalania niechcących się zrosnąć kości, a taki przypadek występował u mojego chłopaka, zastosowano metalowe pierścienie, połączone ze sobą za pomocą prętów zespolonych z kośćmi drutami i śrubami. Tak zwany aparat Ilizarowa.

Ponieważ miał dwadzieścia dwa lata, lekarze zaryzykowali. Gdyby się nie powiodło, byłby bez nogi. Na szczęście się udało. Od pierwszego dnia wypadku dzieliłam swój czas między szpital i pracę. Siedziałam przy nim godzinami, bo przecież szpital był od kwiaciarni o rzut beretem, a moim najczęstszym posiłkiem była wtedy połówka kajzerki.

Znaliśmy się, jak pamiętam, od kwietnia, w czerwcu odbyły się zaręczyny, w październiku zamieszkaliśmy razem, a w styczniu wyjechał na Barskiej. Ze szpitala wyszedł gdzieś w połowie marca i... do mnie nie wrócił. Poszedł do swojego domu.



Stwierdził, że nie chce mi życia marnować, i rozstaliśmy się. Od czasu do czasu odwiedzałam go leżącego w domu. W październiku do mnie wrócił. Zapisano go w kolejce do rehabilitacji, ale ponieważ noga się nie zrastała, mógł ją rozpocząć dopiero dziesięć lat po wypadku.

W lutym 2003 roku urodziłam Krzysztofa, a w sierpniu się pobraliśmy. Miał jeszcze wtedy nogę w aparacie Ilizarowa. Gdy syn zaczął chodzić, mąż bardzo przeżywał, że nie może z nim biegać, czy grać w piłkę, ale ponieważ ma twardy charakter, jakoś sobie z tym poradził.

Najgorsze przetrwaliśmy. W tym roku będzie szesnaście lat, jak jesteśmy małżeństwem. Ach, jeszcze musieliśmy przeżyć jego wypadek na skuterze. Jechał w Mysiadle ulicą Geodetów, gdzie była dziura na dziurze, padał deszcz i wjechał w kałużę, która – jak się okazało – przykrywała głęboką dziurę. Przewrócił się i skuter przygnoił mu kolano. Tym razem wylądował w Konstancinie.

Moja batalia

– Mamy jedno dziecko, bo na więcej nie pozwoliła natura. Gdy po raz drugi zaszłam w ciążę, okazało

się, że mam raka szyjki macicy, i ciąża obumarła. Lekarz powiedział mi: „No, widzi pani, natura sama zdecydowała, ale przy okazji wykryliśmy nowotwór”.

I tak było. Żyję. Wygrałam z rakiem i rozpoczęłam batalię o to, by kobiety się badały. Bo rak wcześniej wykryty jest do wyleczenia. Proszę koniecznie o tym napisać.

Pamiętam, był ładny zimowy dzień, świeciło piękne słońce, a ja szłam Małalińskiego z odebranymi badaniami wycinka i usiłowałam przekazać telefonicznie mojemu lekarzowi, co tam jest napisane po łacinie. Gdy skończyłam dukać, usłyszałam: „Wynika z tego, że ma pani raka”.

Zatkało mnie. To była, delikatnie mówiąc, mało przyjemna wiadomość, ale wzięłam się w garść. Przez pięć lat co pół roku robiłam kontrolnie cytologię i prowadziłam swoją prywatną batalię uświadamiającą. Wszystkim znajomym kobietom, wszystkim, które chciały słuchać, opowiadałam o sobie i o potrzebie robienia badań szyjki macicy. Nie miałam z tym żadnych problemów. I może dlatego nie rozumiem, dlaczego wiele kobiet uważa to za temat wstydlivy i nie chodzi na badania.



Niezapominajka

– Jak stuknęła mi czterdziestka, dostałam od męża prezent. Odkupił od znajomego mechanika forda transita. Gdy powiedział mi o tym przez telefon, przytomnie zapytałam: „A kto tym będzie jeździł? Przecież to duży samochód”. Niepotrzebnie pytałam, bo przecież to było oczywiste.

Na parking przed szkołą na Krasickiego był wtedy taki niby-bazarek. Ludzie przyjeżdżali samochodami i z nich sprzedawali warzywa. Któregoś dnia ktoś ze znajomych powiedział: „A ty nie możesz tu podjeżdżać i sprzedawać kwiaty? Całe życie siedzisz w tych kwiatkach, to mogłabyś spróbować”. I spróbowałam.

Potem koleżanka powiedziała, że na Krasickiego, w domu, w którym mam dziś kwiaciarnię, likwiduję bar Kebab i będzie do wynajęcia lokal. Chęci były, ale w grę wchodziła kwestia finansowa. Tyle nie mieliśmy. I wtedy pomógł nam męża szef. Wspaniały człowiek. Po prostu dał nam pieniądze i powiedział: „Jak zaczniecie zarabiać, to mi będziecie zwracali”.

No i wynajęłam. W grudniu 2013 roku narodziła się kwiaciarnia



...w grudniu 2013 roku narodziła się kwiaciarnia „Niezapominajka”

„Niezapominajka”. Po dwóch latach właściciele sklepu spożywczego, który był przez ścianę, likwidowali interes. Przyszedł do mnie syn właścicieli i powiedział: „Pogadaj z moim ojcem. Może byś to wynajęła”.

Stałam przed kolejną trudną decyzją, bo i czynsz większy, i lokal znacznie większy, ale kto mnie znał, wiedział, że na pewno go zagospodaruję. I wynajęłam. Jestem w tym miejscu już trzy lata.

Lubię to, co robię. Sama maluję torebki, robię je na różne okazje, wyklejam, szukam zawsze czegoś nowego. Na pewno się nie nudzę, bo drzwi – jak widać – się nie zamykają.

Dziś wszyscy żyją wiadomością o tunelu i zamknięciu ulicy Krasickiego. Kilka dni temu żyliśmy planem zagospodarowania przestrzennego, który u mnie w kwiaciarni można było obejrzeć i omówić.

Dlaczego tak się dzieje? Bo ja jestem stąd. Kiedyś działałam w szkolnej radzie rodziców, w radzie sołeckiej, znam wszystkich starych mieszkańców, znam nowych, więc jak czegoś potrzebują, przychodzą, pytają, rozmawiają. Może dzieje się tak dlatego, że bardziej od innych interesuję się tym, co będzie, że jestem otwarta na ludzi, a oni to widzą i czują.

Dobrze mi z tym, bo ja nie znoszę bezczynności. ■



fot. z archiwum prywatnego Felixa - Qi Wanga



Dam sobie radę



– Nauka języka polskiego nie była problemem. Problemem w 1986 roku był brak ryżu – mówi Felix - Qi Wang, zastępca dyrektora generalnego GD Poland w Wólce Kosowskiej. Proszę sobie wyobrazić Chińczyka, który przyjeżdża do nieznanej Polski i nie może kupić podstawowych produktów żywnościowych, do których był przyzwyczajony od dziecka. Nie może kupić ani ryżu, ani mąki.



– Urodziłem się w Chinach, w miejscowości Tangshan we wschodniej części prowincji Hebei, jakieś 145 km na wschód od Pekinu. W Tangshan chodziłem do szkoły podstawowej i liceum. Gdy zdałem państwową maturę, mogłem dostać stypendium i wyjechać na zagraniczne studia.

Ktoś, kto dostawał taką szansą, musiał odbyć roczne szkolenie przygotowawcze do studiów za granicą, a potem odpowiednie ministerstwo decydowało, do jakiego kraju pojedzie studiować. Tak więc specjalnego wyboru nie miałem. Władze zadecydowały o tym, że będę studiował w Polsce.

W nieznanie

– Miałem wtedy dziewiętnaście lat i ani o Europie, ani o Polsce za dużo nie wiedziałem. Owszem, ponieważ interesowała mnie piłka nożna, znałem nazwisko Boniek. Wiedziałem też, kim był Adam Mickiewicz, coś niecoś o Solidarności i Lechu Wałęsie. O papieżu Polaku, czyli Janie Pawle II, nie wiedziałem nic, bo Chiny do dziś nie uznają Stolicy Apostolskiej, czyli Watykanu.

Byłem i jestem jedynakiem, a w Chinach jest taka tradycja, że dzieci powinny być z rodzicami, żeby mogli się nimi na starość opiekować. Moi rodzice są ludźmi postępowymi, więc wiadomość o tym, że zdałem państwową maturę i będę studiował za granicą, przyjęli, mimo tej tradycji, ze spokojem. Wiedzieli, że ja sam podjąłem życiową decyzję i wyrazili dla niej swoje poparcie.

Jestem im za to głęboko wdzięczny, bo od początku wspierali moje dążenia do tego, bym poznał świat i kształcił się za granicą, choć wiem, jakie to dla nich

...w Chinach jest taka tradycja, że dzieci powinny być z rodzicami

było trudne. Myślę, że to, iż zdałem egzamin i wyjechałem, to w ogromnej mierze także ich zasługa.

Po roku przygotowań, we wrześniu 1986 roku przyjechałem do Polski. Najpierw do Łodzi, gdzie zagraniczni studenci w Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców uczyli się języka polskiego.

Przyjechało nas wtedy z Chin czworo, trzech chłopaków i jedna dziewczyna. Po kilku tygodniach musieliśmy wybrać kierunek studiów. Wybrałem nauki polityczne, w związku z czym po roku nauki języka trafiłem na Uniwersytet Warszawski.

W Polsce był jeszcze socjalizm. Smutny czas. Nawet odnosiłem wrażenie, że na początku lat osiemdziesiątych w Polsce było jeszcze gorzej niż w Chinach. Bo w Chinach od rozpoczęcia reformy, minęło wtedy dziesięć lat i warunki życia diametralnie się zmieniły.

Do 1978 roku w kraju nie było żadnego prywatnego samochodu. Cudzoziemcy, szczególnie biali, byli widziani tylko w Pekinie lub w największych miastach, gdzie byli pracownikami ambasad i konsulatów. Potem wszystko się zmieniło. Zmieniły się chińskie ulice i w miejsce szarych mundurków, w których chodzili wszyscy, mężczyźni i kobiety, pojawiły się kolorowe ubiory.

Od 1984 roku przeprowadzono reformę w przemyśle. Pojawiły się takie pojęcia jak prywatyzacja i urynkwienie. Chińska gospodarka zaczęła się otwierać na świat i masowo zakładano prywatne firmy.

Do Chin zaczęły wchodzić McDonald's, Coca Cola i muzyka pop. Całe rodziny cieszyły się, że pojawiły się możliwości zakupu nowych rowerów i maszyn do szycia, automatycznych pralek, kolorowych telewizorów i motocykli, a potem i samochodów. To był dla wielu mieszkańców Chin prawdziwy szok.

A w Polsce szaro i smutno. Myślę, że przyjechalśmy w najgorszym, jeśli chodzi o konsumpcję okresie. W sklepach było pusto. Dla nas, Chińczyków, to było straszne. Przyjechalśmy z dalekiego kraju, przywieźliśmy ze sobą swoje przyzwyczajenia żywieniowe, a tu wszystko na kartki i ryżu nie ma nawet na lekarstwo. Proszę sobie wyobrazić Chińczyka, który całe życie jadł ryż, a tu ani ziarenka. Owszem, mieliśmy pod dostatkiem mięsa, bo o ile pamiętam, miałem dwa i pół kilograma, czy więcej na miesiąc. Nie wykorzystywaliśmy tego przydziału, bo to było dla nas za dużo.

Aha, była również na kartki wódka, ale nie piliśmy. Jeszcze się nie nauczyliśmy pić polskiej wódki i prawdę mówiąc, do dziś się tego nie nauczyłem.

Najgorzej było z mąką i ryżem, ale byliśmy młodzi, świat stał przed nami otworem, wszystko nowe, obce, ciekawe, więc nie było się czym przejmować. Codzienne życie nie stanowiło dla nas problemu, bo pochłaniała nas nauka i nowe wyzwania. Byliśmy w nowym otoczeniu, wśród studentów z różnych stron świata i to między-narodowe towarzystwo nas wchłonęło. Znałem język angielski i rosyjski, uczyłem się szybko polskiego. Rok minął błyskawicznie.

Zresztą nauka dla nas, Chińczyków, nigdy nie stanowiła problemu. Mielśmy świadomość, że aby opanować język, nauczyć się, trzeba się do nauki przyłożyć. Jak ktoś chce, to można.

Szczerze powiem, że Łódź z tamtego okresu nie bardzo pamiętam. Nie mieliśmy czasu, żeby ją poznać.



...nauka dla nas, Chińczyków, nigdy nie stanowiła problemu



Uniwersytet

– Prawdziwe trudności czekały mnie dopiero na studiach w Warszawie – wspomina pan Felix. – Proszę sobie wyobrazić, że obcy człowiek, słabo znający język, nagle znajduje się w obcym świecie. Dookoła sami Polacy. Nagle trzeba się uczyć teorii Kanta, wkuwać filozofię Nietzschego, historię filozofii i inne, których nawet na pamięć nie dało się nauczyć. Po prostu koszmar. Tym bardziej, że było bardzo trudno o podręczniki.

Zresztą, nie byliśmy przyzwyczajeni do takiego sposobu nauki. W Chinach było tak, że nauczyciel przekazywał wiedzę i uczeń miał wiedzieć tylko tyle, ile przekazał mu mistrz. Nie było mowy o samodzielnym myśleniu, szukaniu źródeł i tak dalej.

Na szczęście profesorowie na UW zdawali sobie z tego sprawę i mieli do nas bardzo życzliwy stosunek. Byli bardzo wyrozumiali i cierpliwi. Widzieli i doceniali to, że bardzo się staraliśmy. Słowem, nie było łatwo, ale krok za krokiem zbliżyłem się do 1989 roku. W Polsce były pierwsze wybory, a w Chinach wydarzenia na placu Tiananmen, związane z wielkimi demonstracjami studentów, które z czasem przerodziły się w okupację placu.

20 maja wprowadzono w Pekinie stan wyjątkowy. Pierwsze próby rozpędzenia studentów przy użyciu wojska zakończyły się niepowodzeniem. Dopiero nocą z 3 na 4 czerwca 1989 roku rozpędzono uczestników protestów.

Po tym wydarzeniu my, studenci chińscy, demonstrowaliśmy przed siedzibą ambasady chińskiej w Warszawie i ten fakt, być może, miał wpływ na dalszy tok moich studiów. Jako stypendyści rządu chińskiego, studiujący w Polsce, mieliśmy prawo co dwa lata przyjechać do Chin w odwiedziny. Mój wyjazd wypadł akurat po wspomnianych wydarzeniach. Prawdę mówiąc, znajomi i rodzina ostrzegali mnie. Mówili: „Nie przyjeżdżaj, bo tu się źle dzieje”, ale ja chciałem zobaczyć rodziców,

spotkać się z rodziną i samemu się przekonać, co się w moim kraju dzieje, więc pojechałem. Niestety, powrotu na studia do Polski już nie było. Musiałem je przerwać i przerwa trwała dwa lata. Przez te dwa lata nabrałem w Chinach wiele pokory i dystansu do świata.

W 1991 roku udało mi się już nie jako stypendyście rządu chińskiego, lecz prywatnie przyjechać do Polski. Polskie władze zgodziły się, żebym wrócił na studia. Wyjeżdżałem z Chin bez pieniędzy. Niczego nie wziąłem od rodziców, bo wiedziałem, że dam sobie radę. Poradzę sobie. Byłem przekonany, że jak człowiek chce, a zna język, to sobie poradzi.



Lidia

– Pod koniec studiów poznałem Lidie, Polkę, studentkę zarządzania na UW. Pracowałem w firmie handlowej. Lidia była na studiach zaocznych i też w tej firmie dorabiała. Ponieważ byłem osobą prywatną i mogłem wyjeżdżać do Chin, zabrałem po kilku miesiącach znajomości Lidie ze sobą. Chciałem przedstawić ją moim rodzicom, rodzinie i pokazać jej Chiny.

Rodzice przyjęli ją z otwartymi ramionami. Powiem, że nawet im to przed znajomymi imponowało, że syn przywiózł z Polski blondynkę. Cieszyli się, że w końcu mam kogoś, że założę rodzinę, bo nic nie jest

tak ważne, ani status, ani bogactwo, jeśli się nie ma rodziny. Rodzina jest w Chinach najważniejsza. Po niecałym roku znajomości wzięliśmy ślub.

Pierwszy ślub i pierwsze wesele odbyły się przy okazji kolejnego naszego przyjazdu do Chin. Mówię pierwszy ślub i pierwsze wesele, bo te uroczystości obchodziliśmy trzy razy.

Pierwszy ślub, jeszcze bez papierów, odbył się w restauracji. Wynajęliśmy restaurację, zaprosiliśmy moich rodziców i znajomych, wynajęliśmy mistrza ceremonii, który ogłosił nas mężem i żoną. Wszyscy weselnicy wnieśli toast za nowożeńców i Lidia została panią Wang.

Po powrocie do Polski poszliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego, zarejestrowaliśmy nasz związek i wyprawiliśmy kolejne wesele, tym razem w Płocku, skąd pochodzi Lidia, dla jej rodziców i znajomych.

Trzecie wesele wyprawiliśmy w Warszawie dla moich znajomych Chińczyków mieszkających w stolicy. Tak więc mieliśmy trzy wesela.

Pracowałem już wtedy w GD Poland, czyli w Chińskim Centrum Handlowym w Wólce Kosowskiej. Do Wólki trafiłem na początku lat dziewięćdziesiątych, ale dopiero od 2000 roku centrum zaczęło się rozwijać. Pracowałem w biurze GD najpierw jako tłumacz, potem asystent i wreszcie trafiłem do kierownictwa.



...rodzina jest w Chinach najważniejsza

W chiński Nowy Rok spotykamy się w domu lub w restauracji. Różnica jest też taka, że my w chińskie święta pracujemy, a nie zamykamy wszystko i świętujemy.

W naszym domu przeważa chińska kuchnia, bo ona jest tak bogata i urozmaicona, że trudno się od niej odzwyczaić.

Mam teraz dwie ojczyzny. Mojego rodzinnego miasta prawie nie znam. Zresztą nie wspominałem, że w 1976 roku Tangshan nawiedziło straszne trzęsienie ziemi. Pochłonęło ponad dwieście tysięcy ofiar i miasto zostało całkowicie zniszczone. Mieszkaliśmy dwa czy trzy lata pod namiotem, bez wody. Ja mieszkalem u cioci i chodziłem do szkoły w zupełnie w innym mieście. Dopiero potem zaczęto odbudowywać miasto, a moi rodzice, którym nic kompletnie nie zostało, przenieśli się do mieszkania w bloku.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Podobno ludzie, którzy przeżywają w życiu takie tragedie, mają potem lepiej. Ja w to wierzę i nie narzekam. ■





wielka orkiestra świątecznej pomocy

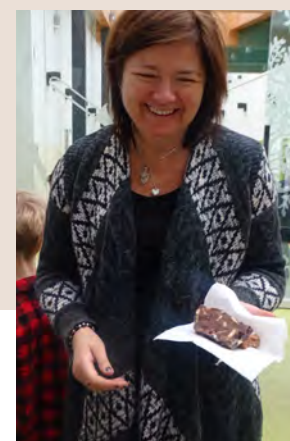
Z serduszkiem w tle

Pomaganie jest dziecinnie proste, głosi jedno z haseł 27. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jest jeszcze inne: Gramy dla dzieci małych i bez focha. Zgodnie z tymi hasłami za pomaganie wzięli się po raz trzeci uczniowie Szkoły Podstawowej w Mysiadle im. Polskich Olimpijczyków.

Tym razem za puszki chwycili Olek, Ala, Biana i Julia. To oni pod opieką nauczycielki języka polskiego, Beaty Sosińskiej, przygotowali tegoroczny orkiestrowy kiermasz.

Były orkiestrowe kubeczki, smycze, zdjęcia z podpisanymi polskich skoczków, książki, gry, wisiorki, bransoletki i kolczyki. Były babeczki, muffiny, ciasta z galaretką, serniki, szarlotki, czekoladowe bloki, murzynki, bezy... krótko mówiąc, niezliczona ilość ciast i ciasteczek, głównie produkcji własnej. Były też otulaki na telefony wydziergane przez panią wicedyrektor z hasłem: *Kup na telefon „otulaka”, wesprzesz Orkiestrę Jurka Owsiaaka*.

Olek, Ala, Biana i Julia zbierali pierwszy raz. Przez cały tydzień pełnili dyżur przy samodzielnie zaaranżowanym stoisku. Kroili ciasta, przyklejali serduszka i z identyfikatorami na szyjach z dumą opowiadali, że puszki, które właśnie stoją na stole, to już kolejne. Kiedy się zapełnią, wszystkie zostaną przekazane Orkiestrze, a tam Jurek z ekipą jeszcze raz przeliczą ich zawartość.



Podczas przerwy w lekcjach czwórka wolontariuszy miała ręce pełne roboty. Uczniowie kupowali ciasta na osłodę szkolnego trudu, a nauczyciele i panie z administracji – bo po prostu lubią słodczyce.

– Z Wielką Orkiestrą gramy już trzeci rok. Ciasta i fanty przynoszą uczniowie, ale też i nauczyciele. Wybór dzieci, które będą wolontariuszami Orkiestry, dostaną identyfikatory i puszki zawsze jest trudny, bo chętnych jest wielu, a my możemy wybrać tylko kilka osób. Jest czterech wolontariuszy w Mysiadle, troje w filii w Zgorzale i na Ogrodowej. Zgody na udział dzieci podpisują rodzice, potem wszystkie niezbędne dokumenty wysyłamy do sztabu Wielkiej Orkiestry. Oni przysyłają identyfikatory, puszki, plakaty i oczywiście serduszka – opowiada koordynatorka całej akcji Beata Sosińska.

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zagrała pełną parą w drugą niedzielę stycznia. Pieniądze przeznaczone zostaną na zakup sprzętu do specjalistycznych szpitali dziecięcych. W szkole w Mysiadle i jej filiach zebrano 5363 złote. Tym samym pobito zeszłoroczny rekord. ■

Za bramą na Wrzosowej witają nas precudnej urody alpaki, Milk i Kofi. Przypominają trochę lamy, ale są od nich mniejsze i z uwagi na bujne runo bardziej podobne do owiec. Pani domu, Kinga Facon, jest nimi zachwycona. Maja Jabłońska, jej siostra bliźniaczka, również. Pani Kinga chce w przyszłości zajmować się alpakoterapią. Maja uważa, że to świetny pomysł, bo według niej Kinia zawsze miała świetne pomysły.



Postanowiliśmy poznać obie panie, tym bardziej że w pamięci mieliśmy fragment niedawnej rozmowy z ich rodzicami, których przedstawiliśmy Czytelnikom w poprzednim numerze „mojej Lesznówoli”, w tekście „Jak tu nie wierzyć w szczęście”. Opowiedzieliśmy w nim o fragmentach z życia Mirosławy i Janusza Bołożuków, którzy o córkach powiedzieli nam między innymi tak.

„...namówiłem nasze bliźniaczki na szkołę ogrodniczą, widząc oczywiście wyobraźnię szklarnie, w których uprawy pod szkłem będą prowadziły moje ogrodniczki. Córki skończyły technikum ogrodnicze na Bełskiej, ale ponieważ nie miały w genach zamiłowania do ziemi, żadna z nich nie podjęła pracy w ogrodnictwie.

– Dziewczynki skończyły technikum, bo im kazałeś – wtrąca pani Mirosława. – Odczekały rok, by przemyśleć, co dalej w życiu robić, i podjęły decyzję...”

Od tej decyzji zaczęliśmy rozmowę z bliźniaczkami.

...zawsze byliśmy jednakowe i zawsze razem

Zawsze razem

– W szkole zawsze siedziałyśmy w jednej ławce – mówi Kinia.

– Wszystkim w otoczeniu pozaszkolnym wydawało się – i często nas o to pytali – że my się podmieniamy na lekcjach i odpowiada ta, która jest lepiej przygotowana. A my byłyśmy zawsze grzeczne, zawsze dobrze przygotowane i do głowy by nam nie przyszło, że tak można.

– Raz w przedszkolu miałyśmy przypięte do bluzeczek kokardki, żeby panie mogły nas rozróżnić – przypomina Maja. – Ale to tylko na początku.



– A tak zawsze byliśmy jednakowe i zawsze razem. Dopiero na studiach się rozdzieliliśmy. Jako bliźniaczki zrobiłyśmy jeden numer, gdy pracowałam na bloku operacyjnym w szpitalu na Banacha jako wolontariuszka i zbierałam punkty, żeby dostać się na medycynę – wspomina Kinia. – Umówiłam się z Mają, że przyjdzie do mnie do pracy, a ja nic nie powiedziałam ani salowym, ani kolegom. Wysłałam po nią i na służbie, gdzie się ubierałyśmy do pracy, przebrałam ją w mój zielony strój i służbową czapkę i tak ubrana weszła do naszego pokoju socjalnego.

W pokoju, jak to w pokoju, toczyły się różne rozmowy. Maja weszła, usiadła, nikt niczego nie zauważył, wszyscy rozmawiali w najlepsze i po chwili do pokoju weszłam ja. Wtedy umilkły rozmowy i zapanała dziwna cisza, a potem powstał zgiełk przerywany salwami śmiechu, bo towarzystwo zorientowało się, że są dwie Kingi, a nie jedna.

– Byłyśmy za grzeczne, żeby się podmieniać, ściągać czy sobie podpowiadać – dodaje Maja. – Obie uwielbiałyśmy pisać wypracowania.

Gdy miałyśmy pójść do technikum ogrodniczego, dostałyśmy od



rodziców ogrodniczki z teksasu. Świetne spodnie. Bardzo długo nam służyły, bo teksas był nie do zdarcia.

– Już w czasie nauki w technikum ogrodniczym na Bełskiej wiedziałyśmy, że ogrodniczkami nie będziemy, bo to nie nasza bajka. W ostatniej klasie technikum zaczęłyśmy się zastanawiać, co będziemy robiły dalej – mówi Kinga.

– Gdy uświadomiłam sobie, że po technikum się rozejdziemy, przeżyłam ogromny stres. Nie wyobrażałam sobie, że możemy się rozdzielić – wspomina Maja. – Jak to? Kinia zawsze była dla wszystkich taka dobra, pomagała w lekcjach, pomagała starszym i dzieciom, umiała wszystko wytłumaczyć i oto nagle ten anioł pójdzie własną drogą?

Pamiętam, jak na lekcji wychowawczej w ostatniej klasie nauczycielka pytała wszystkich uczniów o plany po szkole. Kinia wstała i powiedziała, że chce zostać pielęgniarką i pomagać ludziom. Pani Żurek zrobiła na to dziwną minę i powiedziała: „Pomyśl, Kinia, może byłoby lepiej, żeby z tych zdolności, które masz, skorzystało znacznie więcej ludzi. Gdybyś tak na przykład poszła na medycynę i została lekarzem? Mogłabyś też ludziom

pomagać, ale w inny jeszcze sposób. Na większą skalę”.

– „Nie dość, że ledwie przeżyłam pielęgniarkę, to jeszcze taka podpowiedź”, pomyślałam sobie – mówi Maja. – Tego nie brałam pod uwagę. To był dla mnie bardzo trudny do przeżycia moment – podsumowuje. – Obydwie na medycynę nie mogłyśmy pójść, nawet dla towarzystwa.

– Pamiętam, że chyba już w drugiej klasie technikum podczas ferii zimowych poszłam jako wolontariuszka pracować na oddziale chorób wewnętrznych i chorób wątroby do szpitala.

– Po technikum musiałyśmy obydwie dokonać wyborów i przygotować się do egzaminów na studia, bo jednak mimo dobrych ocen z wielu przedmiotów, z uwagi na program szkoły miałyśmy braki. Zrobiłyśmy sobie rok przerwy i po wakacjach ja poszłam na medycynę, a Maja zdawała na ASP.

– Gdy Kinia dostała się na medycynę, to na pierwszym roku musiała wykuwać wiele rzeczy na pamięć. Zamykała się w pokoju z koleżanką z uczelni i całe noce się uczyły, a ja zostawałam sama w naszym dawnym, małym pokoiku i bardzo przeżywałam, że znalazłam się na marginesie. Nie mogłam sobie poradzić z tym, że u nich w pokoju do późnej nocy paliło się światło, a ja tu w ciemnym pokoiku byłam sama. Przecież zawsze byliśmy razem.

Trudno mi o tym mówić, ale opowiem historię, która przydarzyła mi się, gdy Kinia była chyba na drugim roku medycyny. Był taki dzień, gdy straciłam głos. Nigdy przedtem tego nie doświadczyłam, więc wydawało mi się, że nie można ot tak, właściwie bez powodu, stracić głosu.

Kinia miała przed sobą jakiś super trudny egzamin. Nie pamiętam, chyba z fizyki. Przystąpiła do egzaminu, którego wyniki miały być za kilka dni. Bała się pojechać na uczelnię, żeby sprawdzić oceny, i wysłała mnie.

Pojechałam w obce dla mnie strony na Starynkiewicza, odnalazłam

gmach wydziału, jakoś przepchałam się przez tłum studentów oblegających gablotę z wynikami i stanęłam przed dwoma wiszącymi w gablocie listami. Tych, co zdali, i tych, co nie zdali. Szukam w napięciu nazwiska Bolożuk i... jest. Dostała piątkę.

Pobiegłam do budki telefonicznej, znalazłam żeton, bo telefony były na żetony, i dzwonię do domu. Nie pamiętam, czy telefon odebrała mama, czy Kinia. Usłyszałam: „No, co tam, miśku”, a ja nic. Słowa nie mogę wymówić. Gardło mam tak ściśnięte, że nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku. Kilka razy próbowałam tę dobrą nowinę przekazać, a tu nic. Nie tylko nie wiedzą, kto dzwoni, w jakiej sprawie, to jeszcze słyszą jakieś chlipanie i wiedzą tyle, że tam przy słuchawce ktoś jest. Takie były emocje. Wreszcie jakoś odzyskałam głos, wydusiłam to z siebie i odwiesiłam słuchawkę. To był jak dotąd największy w moim życiu akt heroizmu – kończy opowiadanie wzruszona Maja.

Pierwsza pomoc

– Byłam chyba wtedy jeszcze bardziej poruszona niż Maja. Wzruszona tym jej przeżyciem i wiadomością, jaką mi przekazała – podsumowuje historia siostra. – Zresztą, tak już mamy, że wszystko przeżywamy wspólnie. Opowiem w związku z tym o mojej pierwszej medycznej przygodzie.

To było na pierwszym roku – opowiada pani Kinga. – Na zajęciach z anatomii wspinały pan doktor opowiadał nam o budowie kostnej człowieka, o stawach, kościach i ich mechanizmach ruchowych. Doszedł do głowy, budowy czaszki i stawu skroniowo-żuchwowego. Ponieważ lubił swój wykład ilustrować przykładami, opowiedział nam o wypadku zwinięcia stawu żuchwowego. Powiedział, że takie zwinięcie może nastąpić na przykład przy ziewaniu i pokazał, jak się taki zwinięty staw nastawia.

Zbliżała się pierwsza sesja, do której uczyłam się po nocach,

i którejś nocy, gdzieś chyba około trzeciej nad ranem, nie mogłam opanować ziewania. Ziewałam tak, że w końcu, jak to się mówi, szczeka wyskoczyła mi z zawiasów. Zwinięłam staw żuchwowy i zostałam z szeroko rozwartą paszczą.

Z absolutnym spokojem przypomniałam sobie, jakie to chwyt do zastosowania w takich przypadkach pokazał nam pan doktor. Chwyciłam odpowiednio szczękę, szarpnęłam i żuchwa wróciła na swoje miejsce, a ja uznając, że to był znak ostrzegawczy, przerwałam wkuwanie i poszłam spać, ale za nic nie mogłam usnąć. Muszę dodać, że spałyśmy z Mają w jednym łóżku i co zamknęłam oczy, to wyobrażałam sobie, jaką minę miałyby Maja, gdyby mnie z tą rozwartą szczęką zobaczyła.

Ze śmiechu dostawałam głupawki i wreszcie obudziłam Maję. Spojrzała na mnie z wielką troską w zaspanych oczach, bo myślała, że mnie od tej nauki coś się stało.



– Naprawdę myślałam, że od tego nadmiaru wiedzy zwariowałam, bo chichrała się na łóżku jak chora – potwierdza opowiadanie pani Maja. – Zresztą, od tamtego czasu boję się, że mnie też kiedyś wyskoczy szczeka. Na wszelki wypadek ziewam bardzo dyskretnie, a dentyście mówię, że nie mogę szeroko otwierać buzi, bo grozi mi zwinięcie żuchwy. – Obie panie wybuchają śmiechem.

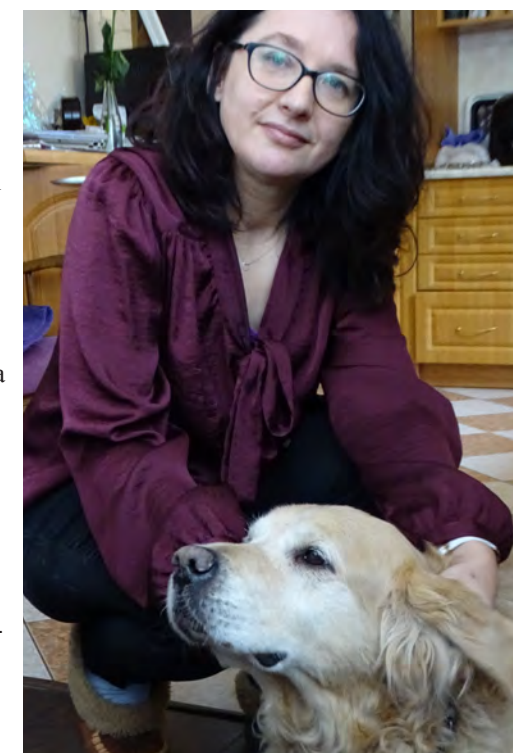
– Dobrze, pośmiałyśmy się, wracam do mojego opowiadania o studiach. Pod koniec, chyba na piątym roku, pojechałam do Anglii i przez miesiąc pracowałam w hospicjum. Po studiach podjęłam pracę jako lekarz ogólny w przychodni. Potem urodziłam córkę i podczas urlopu wychowawczego na prośbę koleżanki podjęłam na pół etatu pracę w hospicjum.

Dla młodego lekarza doświadczenie pracy w hospicjum jest naznaczone tym, że traci się każdego pacjenta. Świadomość, że sto procent pacjentów odchodzi, nie jest dobrym doświadczeniem. Młody lekarz potrzebuje wiary i przekonania, że udaje mu się pomóc, leczyć, wyleczyć, a nie tak jak w hospicjum, że może tylko złagodzić ból odejścia.

I muszę się przyznać, że z tym sobie nie poradziłam. Moja koleżanka z grupy, Marysia Cygan, która razem ze mną poszła do hospicjum, pracuje tam do dziś. Ja miałam w tym czasie małe dzieci i to się wszystko na siebie nałożyło. Z hospicjum zrezygnowałam.

Potem przez jakiś czas pracowałam w pogotowiu i jeździłam do wypadków, ale to też była bardzo trudna praca. Ludzkie dramaty, do których jeździłam, bardzo mnie przerażały. Pamiętam, jak raz zostaliśmy wezwani do młodego człowieka, który wracał do domu, do żony i dzieci, i został na ulicy napadnięty przez bandziorów i zmasakrowany. Albo gdy jechałam tylko po to, żeby stwierdzić zgon jakiegoś znalezione go po kilku dniach od śmierci staruszka. To nie są przypadki, z którymi mogłam się oswoić. I dlatego powiedziałam: „Dość”.

Zresztą, muszę powiedzieć, że decyzję o tym, że nie będę do końca życia lekarzem, podjęłam już w chwili, gdy dostawałam dyplom. Pamiętam, że gdy rektor mówił do nas: „Medycyna będzie teraz numerem jeden w waszym życiu i nic ważniejszego od tego nie będzie” – powiedziałam sobie: „O, nie. Nie w moim. U mnie numerem jeden będzie



rodzina”. I tak się stało. W 2001 roku rozstałam się z medycyną.

U Mai rodzina też jest numerem jeden. Ja mam trójkę biologicznych dzieci – Helenkę, Dorotkę i Andrzeja, i Maja ma trójkę – Piotra, Asię i Ewę. Tyle że ja jeszcze adoptowałam czwarte dziecko. Powód był dość prosty. Miałam kontakt z matkami z Domu Samotnej Matki w Chyliczkach, znałam ich dramaty, trudne

Fot. z archiwum prywatnego Kingi Facon



...u mnie numerem jeden będzie rodzina

życiowe sytuacje i pewnego dnia pomyślałam sobie, że skoro one mają ciężkie życie, a mnie jest w życiu tak dobrze, to ja się tym swoim szczęściem podzielę. Mam cudownego męża, wspaniałą trójkę dzieci, więc długo nie musieliśmy się zastanawiać. Przeszliśmy procedurę adopcyjną i zabraliśmy Krzysiuśnię prosto ze szpitala, bo dziecko było chore.

– To była taka maleńka, sześciotygodniowa kruszynka – pokazuje, odpowiednio rozchylając dłonie, Maja. – Nóżki i rączki miał cieniutkie jak takie patyczki, a teraz proszę popatrzeć, jaki to facet.

Życiowe wybory

– Gdy Krzys był na tyle duży, że mogłam go zostawiać w klubiku dla dzieci, zaczęłam się uczyć.

– Nie, nie. Jeszcze wcześniej zaczęłaś studiować – przypomina Maja. – Po urodzeniu Dorotki.

– Tak, rzeczywiście. Po urodzeniu drugiej córki ukończyłam studium życia rodzinnego i zostałam nauczycielką NPR, czyli metod

naturalnego planowania rodziny. Mogłam prowadzić zajęcia z młodymi ludźmi, którzy zamierzali się pobrać. Miałam trójkę dzieci i wieczorami jeździłam do poradni w Raszynie i Tarczynie.

Potem, gdy zaczęłam myśleć o pracy zarobkowej, dostałam propozycję od pani dyrektor szkoły w Łazach, do której chodziły moje córki, i zostałam bibliotekarką. Zrobiłam studia podyplomowe na bibliotekoznawstwie i kilka lat pracowałam w szkolnej bibliotece.

Gdy przy parafii w Magdalence powstało Publiczne Katolickie Liceum Ogólnokształcące i Gimnazjum, przeniosłam się do pracy w tej szkole. Najpierw pracowałam w bibliotece, potem w nowej szkole okazało się, że nie ma nauczyciela od zajęć artystycznych, więc zaczęłam je prowadzić. Z czasem doszedł w szkole nowy przedmiot – plastyka. Poszłam więc na odpowiedni kurs podyplomowy dla nauczycieli i hurtem zrobiłam plastykę, technikę i muzykę.



I choć do dziś jestem panią nauczycielką, to przekonałam się, że to nie jest jednak moje powołanie, bo ciągnęło mnie do pacjentów. W związku z tym parę lat temu zapisałam się na kurs leczniczego masażu. Skończyłam kurs, podjęłam próbę, ale okazało się, że masaż leczniczy to zajęcie nie dla mnie, bo to bardzo ciężka praca fizyczna. Nie dałabym rady.

Ale nie skończyłam poszukiwań. Dowiedziałam się, że jest jeszcze inny rodzaj masażu, masaż techniką Bowena. Delikatny, bezbolesny zabieg relaksacyjny, który polega na specyficznych, wykonywanych palcami ruchów na ścięgnach, mięśniach i tkance łącznej, bezpośrednio na skórze lub przez cienką odzież pacjenta. Zapisalam się na kurs techniki Bowena i właśnie go kończę. Maja mi bardzo kibicuje.

Aha, i jeszcze te alpaki. Zobaczyłam je na obrazku w książce i z miejsca się zakochałam. Kupiłam książkę, przeczytałam o tych pięknych zwierzętach i ciągle o nich w domu rozmawialiśmy. W końcu sprawdziłam, gdzie można alpaki kupić, i pojechaliśmy do Rutki



...przebywanie
w towarzystwie tych
zwierząt, doskonale
wpływa na ludzi

na Podlasie. Gdy zobaczyłam stado pięknych, kolorowych zwierząt, wiedziałam, że będą w naszym ogrodzie.

Chodziłam po domu, rozmawiałam z mężem, z dziećmi i wychodziłam. Długo przekonywałam mojego kochanego męża, że marzy o tym, by mieć alpaki, i wreszcie przyznał się, że marzy. Ponieważ Tomek jest człowiekiem zdolnym, w dwa czy trzy weekendy zbudował przepiękną stajenkę i w połowie grudnia wprowadziły się do niej Milk i Kofi.

Zaprzyjaźniamy się i myślę o zajęciu się alpakoterapią, czyli wspomaganie leczenia dzieci z autyzmem, z zespołem Downa, z porażeniem mózgowym, osób znerwicowanych, a także rehabilitacją osób starszych obecnością tych przyja-

znych zwierząt. Przebywanie w towarzystwie przemiłych, spokojnych zwierząt o mądrych, ufnych oczach doskonale wpływa na ludzi.

– Kinia na pewno o tym napisze książkę. Niedawno wydała swoją pierwszą pod tytułem „Samulka”. Nie mogłam się na nią doczekać – mówi Maja, która wprawdzie skończyła historię sztuki, ale tak jak siostra wybrała rodzinę. Zajmuje się rysowaniem ilustracji, bo przecież kiedyś chciała studiować na ASP, więc zdolności do rysunków pozostały.

– „Samulkę” pisałam dla Mai. Trwało to długo, ale każdy fragment napisanego tekstu czytała pierwsza. Inaczej być nie mogło. Bliźniaczki pewnie tak już mają, że jedna bez drugiej długo nie wytrzyma. ■



Jasnowidzka powiedziała mi kiedyś:

„Ma pani dar. Wystarczy, że pomyśli pani o czymś przed snem, i to się pani przyśni” – wspomina dr Luiza Jonczak. – I mnie się to sprawdziło. Myślałam o drugim dziecku i jakieś półtora roku przed urodzeniem Alka miałam dziwny sen. Przyśnił mi się ładny chłopczyk, który miał duże, jasne oczy. Był zdrowym dzieckiem i stał w zaspie śniegu. Ten sen przypomniał mi się, gdy zaszłam w ciążę. Termin rozwiązania był wyznaczony na 14 kwietnia. Zaczęłam się martwić, że skoro ma być śnieg, to pewnie urodzę wcześniaka.

Minęła zima. Śniegi spłynęły z wodą i nic się nie wydarzyło. Przyszedeł kwiecień i zaczął sypać śnieg. Alek urodził się trzeciego kwietnia. Do pediatry jeździłam przez zaspę, bo śnieg leżał do połowy miesiąca.

Dobrych snów



Z panią doktor nauk medycznych Luizą Jonczak, mieszkanką Jazgarzewszczyzny, spotkaliśmy się, by porozmawiać o śnie. Nie o snach. Nie o tym, co się komu śni czy co się komu przyśniło, tylko porozmawiać o tym, czym jest sen. Czym jest i jaka jest jedna trzecia życia człowieka, bo tyle mniej więcej czasu w naszym życiu zajmuje sen. Jedna trzecia życia to kawał przespanego czasu. Warto wiedzieć, jak ten czas dobrze wykorzystać.

Czym jest sen?

– Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale prosta. Możemy powiedzieć, że to czas, kiedy człowiek się odnawia i wypoczywa. Kiedy mózg wszystko sobie układa, pamięć wszystko porządkuje i ustawia w odpowiednich miejscach – mówi pani doktor. – Możemy powiedzieć, że sen to te nocne godziny, podczas których zapamiętujemy zdobytą w ciągu dnia wiedzę, kiedy rozluźniają się mięśnie ciała i organizm odpoczywa.

Możemy też powiedzieć, że sen to występująca w rytmie dobowym cykliczna utrata świadomości, którą tracimy, zasypiając wieczorem, i odzyskujemy, budząc się rano. Stan, w którym mózg człowieka wyłącza się między innymi po to, żeby pracować nad sobą, żeby się regenerować.

Ludzie nie przywiązują specjalnej wagi do tego, żeby spać dobrze, żeby się wysypiać, żeby w czasie snu odpowiednio oddychać, żeby odpowiednio pracowało serce, organizm był dotleniony i żeby te wszystkie ważne dla życia człowieka procesy mogły zaistnieć.

Naprawdę mało kto zwraca na to uwagę i zdaje sobie sprawę z tego, że im człowiek starszy, tym potrzebuje mniej snu. Średnio człowiek powinien spać siedem godzin. Gdy śpi dłużej, to żyje niestety krócej.

Medycyna snu jako taka rozwinęła się dopiero po wojnie, kiedy do badań obrazujących czynności mózgu na podstawie aktywności komórek nerwowych kory mózgowej zastosowano elektroencefalografię – badania EEG. Dziś stosuje się je w diagnozowaniu i monitorowaniu zaburzeń snu, padaczki, chorób polegających na uszkodzeniu mózgu lub wynikających z uszkodzeń jego struktury.

Wtedy tak naprawdę zaczęto się przyglądać, co się dzieje z człowiekiem w czasie snu. Wcześniej z mitologii greckiej wiedziano, że jest kłątwa Ondyny, czyli choroba, na którą został za niewierność skazany śmiertelnik, który – by móc oddychać – musiał stale o tym pamiętać. Gdy zasypiał i zapominał o oddychaniu, umierał.

Pisał o tym Charles Dickens w swojej książce „Klub Pickwicka”, której tytułowy bohater cierpiał na zatrzymanie oddechu podczas snu, co później określono tak zwanym zespołem Pickwicka.

Tak więc najpierw różne nieprawidłowości podczas snu opisywali pisarze i filozofowie, ale zbadać je można było dopiero wtedy, gdy się rozwinęła technika.

W początkach mojej pracy jeszcze widziałam takie badania, które były zapisywane na papierze milimetrym. Miałam okazję obserwować, jak to się wszystko rozwijało. Dopiero w 1985 roku wymyślono leczenie bezdechu sennego przez zastosowanie prostego respiratora CPAP (Continuous Positive Airway Pressure), wspomagającego oddychanie przez utrzymywanie stałego dodatniego ciśnienia w drogach oddechowych.

Gdy zaczęłam w 1998 roku pracę, a studiowałam w latach dziewięćdziesiątych, to wszystkie te informacje zaczęły do Polski dopiero przychodzić zza granicy. Miałam możliwość całą tę historię dogłębnie poznać, bo



fot. z archiwum prywatnego Luízy Jonczak



Interesuje mnie, jak co działa

– Większość swojego zawodowego życia przepracowałam w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie. Z wykształcenia jestem lekarzem z dwoma specjalizacjami: choroby wewnętrzne i choroby płuc. Moje największe zainteresowanie zaczęło się jednak jeszcze na studiach. Była to właśnie medycyna snu – mówi pani doktor Jonczak.

– Tak mi się poukładało w życiu, że na ostatnim roku studiów zaczęłam jako technik pracować w pracowni snu w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc. Kiedy zwolniło się miejsce na etacie w instytucie, profesor Jan Zieliński zaproponował mi pracę. Jeszcze nie zdążyłam skończyć stażu podyplomowego, bo robiłam doktorat, a już dostałam etat. To chyba była moja największa przygoda. Dlaczego zainteresował mnie sen? Bo sen to – jak wspominałam – jedna trzecia życia człowieka.

Mam umysł ścisły, matematyczny. Interesuje mnie, jak co działa, gdzie są jakie ciśnienia, jak to się rusza i dlaczego coś wiotczeje, a nie, co się komu śni. Mnie interesuje raczej proces snu od strony technicznej. Pamiętam, że przez pierwsze lata mojej pracy chodziłam ze śrubokrętem w torbie, bo aparaty do oddychania trzeba było ustawiać. Chodziłam na wizyty do pacjentów, wymowałam śrubokręt i ustawiałam aparaty.

moja Lesznawola

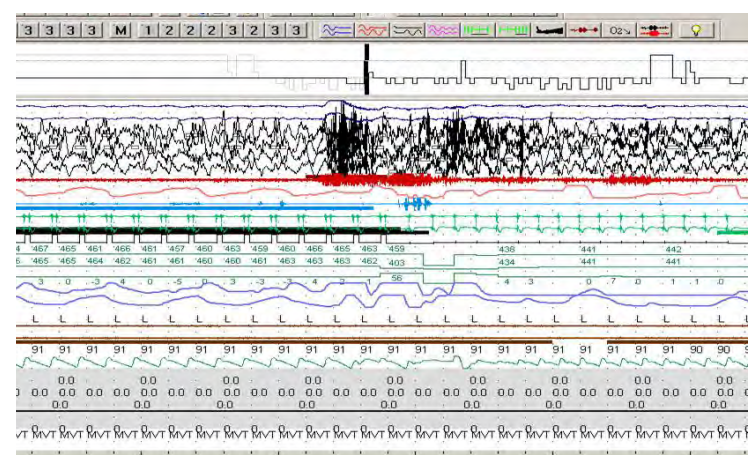
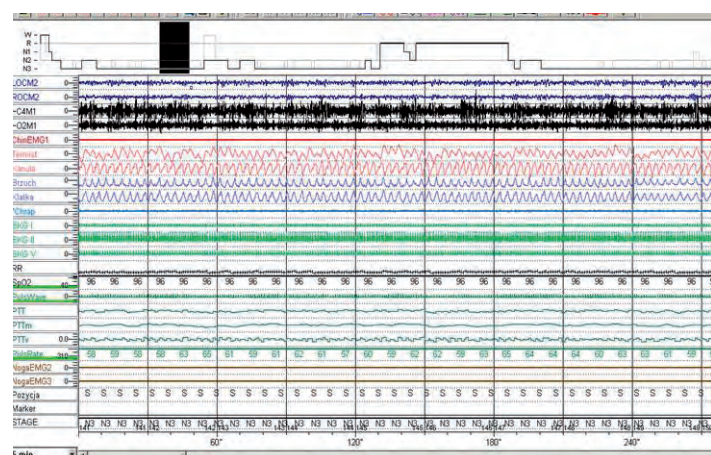
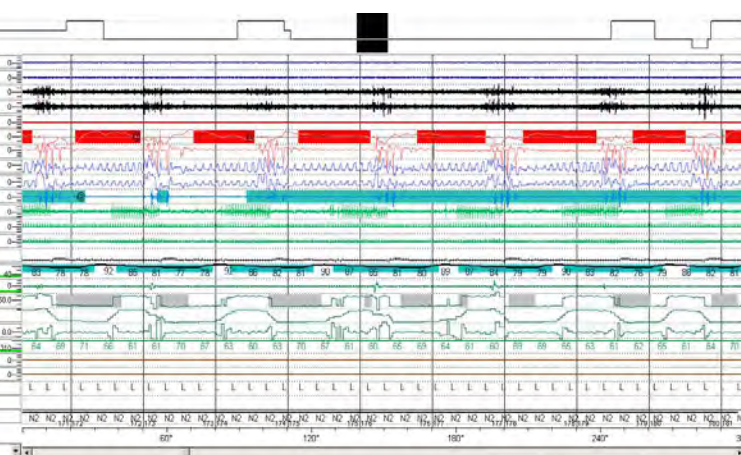
Definicji snu, jak wspomniałam, jest kilka, ale nie ma jednej jednoznacznej. Nawet gdy ostatnio byłam na spotkaniu ekspertów polskich, bo należę do Polskiego Towarzystwa Badań nad Snem, to na temat definicji snu był cały wykład. Jedna definicja mówi, że w czasie snu człowiek nie ma świadomości, bo jeśli się wybudzamy na kilka sekund, na półtorej sekundy, a nawet do piętnastu sekund, to nie odzyskujemy świadomości. Dopiero gdy te przerwy w czasie snu trwają dłużej, możemy być świadomi, że się wybudziliśmy.

Jeżeli nawet podczas snu ktoś nami potrząśnie, to odwracamy się na drugi bok i nie musimy tego pamiętać. Funkcje naszej świadomości są wyłączone, chociaż zdarzają się sytuacje, gdy pacjenci mówią, że pamiętają, że byli cały czas świadomi.

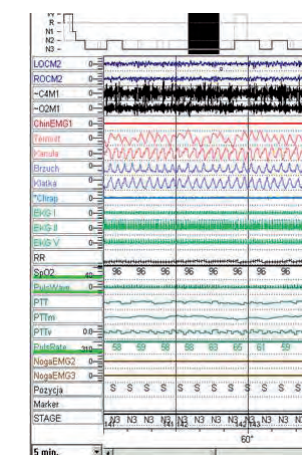
Ostatnio zakładałam badanie snu pacjentowi i myślałam, że on nie śpi, ale w którymś momencie tak odjechał, tak zwiotczał, miał kilka drgnięć ciała, że byłam pewna, iż zasnął. Zapytałam na wszelki wypadek: „Pan śpi?”. Odpowiedział: „Nie, nie, nie”. Ale w momencie, gdy już miałam zapis jego snu i oceniałam badanie, to okazało się, że pacjent wpadł w ciągu minuty, dwóch minut w głębszą fazę snu. Jemu się wydawało, że nie śpi, że jest świadomy. A ja miałam podłączoną aparaturę, sprawdziłam i wiedziałam, że zasnął.

Gdy człowiek śpi

– Są różne stadia snu i w zapisach EEG widać to tak, że na początku amplituda spada. W stadium trzecim snu amplituda jest wysoka o małej częstotliwości. W fazie REM, która następuje po fazie głębokiego snu, gdy wzrasta aktywność mózgu, spada amplituda, ale dodatkowo dochodzą nam szybkie ruchy gałek ocznych i spada napięcie mięśni. U niektórych osób jest tak, że podczas zasypiania, w momencie przejście z okresu czuwania do snu, na chwilę zwalnia się oddech i przestają oddychać. Dzieje się tak dlatego, że w ośrodku



*...sny powstają
w fazie REM*





oddechowym dochodzi do przestawienia funkcji. Mogą pojawić się krótkie bezdechy i człowiek zapada w spokojny sen. Jeżeli wszystko funkcjonuje tak, jak trzeba, czyli jest odpowiedni oddech, nic nikogo nie boli, to sobie spokojnie zasypiamy.

Wpadamy w cykl snu, które zmieniają się co 60 – 90 minut. Jeżeli sen jest zdrowy, to po kolei przechodzi się ze stadium pierwszego w drugie, z drugiego w trzecie, potem w fazę REM, a potem spokojnie wracamy. Pierwszego stadium jest mało, drugiego więcej, bo prawie pięćdziesiąt procent, i tak sobie wędrujemy z tym naszym snem po tych cyklach, a jest ich kilka – od trzech nawet do pięciu, w zależności od tego, ile organizm potrzebuje.

W Antwerpii, gdy powstawała definicja bezdechu, robiłam badania i na początku uważano, że choroba bezdechu była wtedy, kiedy u śpiącego występowało ich ponad dziesięć na godzinę. Teraz jest całkiem inna definicja. Kiedy zaburzeń jest pięć, mówimy o chorobie, która nazywa się „obturacyjny bezdech senny”. W Stanach Zjednoczonych wymyślono, że na tę chorobę nie zachorują osoby, które mają tak zwany zespół wzmożonego oporu górnych dróg oddechowych. Mój szef, profesor Zieliński – to było coś wspaniałego, że miałam okazję go poznać – chciał się temu przyjrzeć.

Chciał zbadać, czy faktycznie jest to oddzielna jednostka chorobowa i ja miałam to w jakiś sposób udowodnić. Zebrać pacjentów, przebadać ich, przeanalizować wyniki badań osób, które już wcześniej były w pracowni instytutu badane, i wyciągnąć z tych analiz wnioski. Znalazłam grupę osób, które się zgodziły, żebym im w nocy podczas snu badała ciśnienie wewnątrz przełyku, więc musiały zasypiać z czujnikami wprowadzonymi przez nos do przełyku, ale udało się. Wybierałam osoby, które miały bardzo dużą senność i łatwość zasypiania. Nawet w trakcie badań już zasypiali. Wystarczyło, że na chwilę usiedli w kabinie.

Okazało się, że z grupy osób zaliczonych do tych, które są w zespole wzmożonego oporu górnych dróg

...średnio człowiek powinien spać siedem godzin

oddechowych i nigdy nie powinny mieć bezdechu, dwie trzecie bezdechy miało. Szukaliśmy, jakie są tego przyczyny i dlaczego z tych badań wynika, że to jest wstęp do obturacyjnego bezdechu sennego. Miałam szczęście, że w tym całym świecie naukowym zdążyłam w prasie zagranicznej opublikować wyniki moich badań, zanim powstała definicja oddzielnej jednostki chorobowej i włączyli zespół wzmożonego oporu górnych dróg oddechowych do definicji bezdechu.

Kiedy powstaje sen?

– Snem zaczęłam się interesować od strony technicznej, bo to było dla mnie coś skomplikowanego – te wszystkie stadia snu i badania EEG. Nie senniki, chociaż sprawdzałam, co dany sen znaczy i wybierałam sobie te lepsze interpretacje. Kiedy podjęłam pracę jako technik w pracowni snu, jakoś wszystko się dalej samo potoczyło. Przeprowadzałam badania, analizy. Interesowało mnie, jak ciśnienie w klatce piersiowej zmienia się w zależności od tego, jak zbudowane jest gardło. Czy to, że ktoś ma bezdechy, jest związane – jak mówią laryngolodzy – z tkanką miękką i wystarczy coś usunąć z gardła i będzie poprawa? Czy może tak nie jest?

Z moich obserwacji wynika, że może dwadzieścia procent problemów jest związanych z czymś, co jest do usunięcia i z jakąś nieprawidłową budową. Większość przyczyn natomiast jest związana z genetyką, z naszą budową genetyczną twarzoczaszki i z ustawieniem żuchwy w stosunku do szczęki, od których zależy, ile mamy przestrzeni do oddychania. To wszystko dziedziczymy po rodzicach. Tylko nie wiemy, jakie geny to powodują.

Sny powstają w fazie REM. Kiedy ruchy gałek ocznych są szybkie, kiedy organizm jest rozluźniony, wtedy pojawiają się marzenia senne. I wtedy, gdy człowiek się obudzi, może coś z tych marzeń pamiętać. Są osoby, które mają marzenia, i takie, które ich nie mają. Jednym się coś śni, innym nie. Ja miałam na przykład dużo snów związanych z drogą, która prowadziła do naszej działki wtedy, gdy ją w Jazgarzewszczyźnie kupiliśmy.

Śniły mi się osoby, które dopiero miałam poznać i które nam pomogły w rozwiązaniu problemu. Przyśnił mi się jakiś pan, a na drugi dzień go zobaczyłam. Pytacie, dlaczego moje sny były związane z drogą? Bo gdy kupiliśmy działkę i zaczęliśmy budować dom,



...najczęściej spotykanym zaburzeniem snu jest bezdech

znaleźliśmy się nagle na wyspie. Któregoś dnia na drodze dojazdowej do działki stanęły w poprzek słupki, za działką droga została zaorana. Mieliśmy odcięte drogi wyjazdu i wyjazdu. I naprawdę byliśmy jak na wyspie. Ani wjechać, ani wyjechać. Miejscowi nie chcieli tu obcych, ale to było dawno. Minęło, jak zapomniany sen.

Zaburzenia snu

– Ludzie, którzy od razu zasypiają i wpadają w fazę REM, niekoniecznie są zdrowi. Mogą cierpieć na chorobę zwaną narkolepsją. Narkolepsja to choroba bardziej neurologiczna, powodująca nadmierną senność w ciągu dnia. Od razu zapada się w sen i od razu w stadium głębokie.

Najczęściej spotykanym zaburzeniem snu jest bezdech, którego objawem jest senność w ciągu dnia. Jeżeli przyczyną bezdechu jest otyłość albo zmiany w budowie górnych dróg oddechowych, to bezdech można łatwo wyleczyć. Usuwamy to, co jest nieprawidłowe, oddechujemy pacjenta i udaje się. Gorzej, jak jest to przyczyna

genetyczna, rodzinna. Są młode szczupłe kobiety, które cierpią na bezdech i nie można na to nic poradzić. Muszą spać z aparatem. Są jeszcze operacje ustawiające prawidłowo żuchwę do szczęki, ale to jest bardziej skomplikowane, związane z chirurgią szczękową.

Jest też bezsenność, która jest chorobą cywilizacyjną. Jedną z jej przyczyn jest stres, ale też obniżenie nastroju, nadmierne myślenie, jakieś przeżycia. Jest bezsenność idiopatyczna, spowodowana uwarunkowaniami genetycznymi, charakteryzująca się płytkim, przerywanym i zbyt krótkim snem, występująca u niektórych ludzi już od dzieciństwa.

Pogorszenie snu może być też związane z wiekiem oraz nabyciem złych nawyków radzenia sobie z zaburzeniami snu, co w konsekwencji powoduje wystąpienie zaburzeń przewlekłych, prowadzących do pogorszenia funkcjonowania w czasie dnia. U wielu osób pojawia się bezsenność sezonowa związana z brakiem światła.

Problemy ze snem mają też dzieci. Szczególnie otyłe, u których częściej występują bezdechy.

Co możemy robić, żeby sobie pomóc? Pamiętać o higienie snu. Higiena snu polega na tym, żeby nie uprawiać sportu przed snem, nie najeść się, nie opić. Bo jak dużo wypijemy, to będziemy w nocy wstawać, żeby iść do toalety, jak się najemy, to cały czas organizm będzie pracował i sen będzie zaburzony.

Tak naprawdę nie jest ważne, czy śpimy cztery, pięć czy więcej godzin. Chodzi o to, by przynajmniej dwie godziny przespać snem głębokim. Nie ma co leżeć w łóżku i utrzymywać bezsenność, czekając na sen. Lepiej i zdrowiej skrócić sen. ■



fot. z archiwum GOK Lesznówola

Grają, bo lubią

– Gdy w czerwcu ubiegłego roku graliśmy koncert „Powitanie lata 2018”, ta sala wypełniona była po brzegi. Przyszło tyle ludzi, że dla pani wójt trzeba było dostawić krzesło. Koncerty zawsze sprawiają nam radość. Mamy pierwsze tygodnie stycznia, a ja już nie mogę się doczekać czerwca, bo znowu zagramy na powitanie lata – mówi pani Anna Tarchalska.

Orkiestra inżynierów

– Jedno jest pewne – mówi pani Magda. – Nie jesteśmy zawodowymi muzykami. Większość z nas to inżynierowie różnych specjalności. Wśród obecnych dziś na próbie Weronika Wojciechowska, grająca w orkiestrze na altówce, jest z wykształcenia biologiem. Jacek Prac, grający na instrumentach klawiszowych, i jego żona Anna, grająca na klarnecie, są absolwentami Politechniki Warszawskiej. Jacek – wydziału elektroniki, a Anna – wydziału inżynierii sanitarnej i wodnej.

Anna Tarchalska, współzałożycielka orkiestry, jest z zawodu psychologiem i logopedą. Tomasz Rogowski to absolwent wydziału prawa UW i dyplomata z czterdziestoletnim stażem. Lech Nowosad – inżynier elektryk. Magdalena Rejnowicz-Rydzewska jest absolwentką wydziału geodezji PW, zaś Jadwiga Marciniak to inżynier lotnictwa. Wszyscy grają na skrzypcach.

Jarosław Szutkowski, elektronik po Politechnice Warszawskiej, reżyser po Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, gra na fletach. Agnieszka Skiba, absolwentka Akademii Muzycznej w Gdańsku i Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, na oboju. Stefan Gołaszewski, absolwent wydziału elektrycznego PW, gra na kontrabasie, zaś Henryk Romańczyk, geodeta po PW, na wiolonczeli.

– Tak naprawdę orkiestrę założyła Magda. To ona wpadła na ten genialny pomysł, a nazwę „Lesznówolska Orkiestra Symfoniczna” wymyśliła trochę na wyrost pani Walentyna Sobolewska, dyrektorka GOK – mówi pan Jacek. – Przyjmijmy, że nazwa miała być sygnałem, że to będzie inicjatywa rozwojowa.

– Nazwa była na wyrost, bo najpierw w orkiestrze były same smyczki – dodaje pan Lech, który na próbę przyniósł pyszne bakaliowe ciasto.

– Nie, nie, był jeszcze flet, obój, klarinet, saksofon altowy, saksofon tenorowy, trąbka, kontrabas i wiolonczela – uzupełnia pani Magda.

– Oczywiście wszyscy jesteśmy po szkołach muzycznych, więc w tym sensie nie można powiedzieć, że jesteśmy amatorami. Mamy przygotowanie muzyczne, a gramy dla przyjemności. Kochamy grać i bardzo lubimy nasze towarzystwo. Granie to nasze hobby.

– O tym, jak się zebraliśmy, musi opowiedzieć Magda, bo to wszystko jej zasługa – decyduje pan Jacek.

– Pomyślałam w pewnym momencie życia, że poza pracą zawodową warto byłoby jeszcze jakoś się w życiu realizować, a ponieważ kiedyś, podczas studiów grałam, w Zespole Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, sięgnęłam do znajomości z tamtych czasów, bo kilka osób też było z Zespołem Pieśni i Tańca PW związanych. Miałam przeczucie, że wiele jest osób takich jak ja, które gdzieś grały, potem zajęły się pracą zawodową, ale gdyby mieli okazję, chętnie by jeszcze pograli.

Z tym przekonaniem poszłam do pani dyrektor Sobolewskiej i opowiedziałam jej o swoim pomysle. Zaproponowałam utworzenie zespołu muzycznego. Uzyskałam aprobatę i zaczęliśmy działać. Na początku rozwiesiliśmy ogłoszenia i czekaliśmy na chętnych.

– Zobaczyłam plakat w szkole w Łazach – wspomina pani Anna. – Boże, całe życie chciałam grać w orkiestrze i myślałam, że umrę i nigdy tego marzenia nie spełnię, a tu niespodzianka. Jest szansa. Chciałabym się zapisać, ale pewnie nie dam rady. Ponieważ był to ostatni dzień, w którym można się było zgłaszać, pomyślałam „Jezu, muszę spróbować” i zadzwoniłam do Magdy.

Magda powiedziała: „Proszę przyjść”, więc wzięłam pod pachę swoje rozstrojone skrzypce i poszłam.

– Ty przynajmniej przyniosłaś skrzypce, a ja asekuracyjnie przysłałam bez altówki, żeby mi nie kazali grać – śmieje się pani Weronika.

– A ja pamiętam, że gdy zacząłem budować dom – wspomina pan Rogowski – to szukałem miejsca, gdzie mógłbym grać. Dawałem nawet ogłoszenia przy gminach. Nikt się nie odezwał. Były to ogłoszenia, że szukam zespołu, w którym mógłbym grać, że możemy założyć kwartet smyczkowy, zespół i nic. Zero odzewu, choć muszę uczciwie powiedzieć, że gminy mi nawet pomagały zrealizować ten pomysł, drukując kolorowe ogłoszenia. Nie było klimatu.



...większość z nas to inżynierowie różnych specjalności



Pewnego dnia przyszedł do mnie coś tam naprawić hydraulik i zaczęliśmy rozmawiać. Mówię do człowieka bywałego w świecie, że chciałbym grać, i pytam, czy nie zna kogoś, z kim mógłbym o tym porozmawiać. „A wie pan, że znam. Znam taką panią, która gra w jakiejś orkiestrze. Może pan z nią porozmawiać”. I dał mi kontakt do pani Anny.

– Trzeba powiedzieć, że początki były dla uszu niewątpliwie bolesne – wspomina pani Magda. – Anna Kostyrka, która grała na trąbce, mówiła, że w domu ćwiczy zamknięta w szafie, żeby nie dręczyć domowników. Potem została radną w Piasecznie i już na graniu z nami nie miała czasu.

Jej dwie córki, które też z nami na początku grały – jedna na flecie, a druga na waltorni – odeszły.

– A co młode, dwudziestoletnie dziewczyny, delikatnie rzecz ujmując, miały grać ze starszymi osobami? – usprawiedliwia porzucenie orkiestry pan Jacek.

– To nie tak – protestuje pani Anna – przecież Weronika jest młodą dziewczyną i z nami gra.

– Ale to jest co innego – przekonuje pan Jacek. – To jest nasz rodzynek. Niektóre dziewczyny grają z nami z miłości.

– Oczywiście do muzyki – dodaje pan Tomasz.

– Zaraz na początku saksofonista, który z nami grał, niestety zachorował i umarł, a drugi wybrał granie w orkiestrze dętej.

Tak wyglądały nasz początki, ale mimo trudności, niesieni entuzjazmem, na przełomie stycznia i lutego 2011 roku ruszyliśmy. Osiemnastego marca zagraliśmy pierwszy koncert, wykonując *Libertango* Astora Piazzoli oraz muzykę do filmów *Pearl Harbour* i *Misja*.

Drugi koncert orkiestry zagraliśmy w już czerwcu na dorocznym święcie naszej gminy. Do wspomnianych utworów dodaliśmy temat muzyczny z filmu *Różowa Pantera* oraz wiązanek przebojów z repertuaru Franka Sinatry.

W grudniu tego roku zagraliśmy koncert na uroczystej wigilii gminnej w szkole w Łazach. Z jednej strony mamy satysfakcję, że nam w udziale przypadł ten zaszczyt, z drugiej pewien niedosyt, że z uwagi na warunki akustyczne hali sportowej było poprawnie, a mogło być bardzo dobrze.

Niestety, nasza gmina jeszcze nie dorobiła się sali koncertowej, więc zawsze tak będzie, że na próbie granie lepiej wychodzi niż na koncercie. Co na to wpływa? Na przykład czas oczekiwania na występ. Kiedy siedzimy w światłach na scenie, czekamy aż skończy się część oficjalna, to w tym czasie nasze instrumenty poddają się zmieniającej się temperaturze i wypadaloby je jeszcze raz, tuż

przed graniem, dostroić. Na to nie ma czasu. Gramy i słyszymy, że to nie brzmi tak, jak na próbie. Widownia tego nie odbiera, ale nasze uszy tak. I to nie jest kokieteria, nasze instrumenty powinny brzmieć.

– Magda, nie narzekaj. Mogło być gorzej – wtrąca pani Anna i wszyscy wybuchają śmiechem. – Może z czasem dorobimy się takiej sali, jaką mają w pobliskim Tarczynie czy Raszynie.

Osiem lat

– To już kawałek historii. Przez te lata udało nam się zagrać ponad sto dwadzieścia utworów – podsumowuje pan Jacek, a pani Magda dodaje:

– Kolega jest również aranżerem, który opracowuje dla nas utwory i dostosowuje je do naszego instrumentarium.

– Jak mam trochę czasu, to tak – potwierdza pan Jacek, a pani Magda uzupełnia informację:

– Kolega na co dzień pracuje w elektrowni w Świerku.

– Magda, w Świerku jest reaktor atomowy, a ja nie pracuję w elektrowni, tylko zajmuję się przyspieszaniem elektronów. Poganiam elektrony – śmieje się pan Jacek – a jak mam czas, to zabawiam się przystosowywaniem utworów do naszego zmieniającego się składu. Ponieważ czasu mam coraz więcej, to sięgam po coraz bardziej ambitne utwory.

Marzenia się spełniają

– Słuchajcie, powiedzcie teraz o naszych sukcesach – proponuje Anna Tarchalska.

– Przede wszystkim o Grand Prix.

– To było jakieś dwa lata temu, na jesieni... – zaczyna pani Magda, ale przerywa jej uwaga pana Jacka.

– Generalnie mamy taki skład, jaki mamy. Mamy jednego rodzyńka, drugiego – tu pan Jacek wskazuje na najmłodsze siły orkiestry – a potem stare dziadki, zaczynając ode mnie, i jak tylko jest jakiś konkurs dla seniorów, to Magda nas tam wysyła.

Ma zresztą słuszność, bo to jest zawsze okazja, żeby wystąpić. Poza tym, nasza Lesznowska Orkiestra Symfoniczna wydaje się być ewenementem w skali Polski, bo przeważają orkiestry dęte.

– Możemy więc organizować konkursy tylko dla siebie – stwierdza pani Anna, a pan Nowosad dodaje: Bo inne orkiestry są dęte, a nasza jest nadęta, więc nie mamy konkurencji. – I wszyscy wybuchają śmiechem.

– Kiedyś o naszej orkiestrze powiedziałem pewnej pani z Ameryki. Do dziś nas zaprasza do Stanów, tylko nic nie pisze, kto nam ten wyjazd sfinansuje – opowiada, śmiejąc się, pan Jacek.

– Mieliliśmy mówić o sukcesach, więc wracam do Grand Prix. Zdobyliśmy je na trzynastym Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Artystycznej Seniorów „Teraz My”. Graliśmy wtedy *Carmen Bizeta*.

– Nigdy tego nie zapomnę. Załapaliśmy wtedy osiem stów nagrody – przypomina pani Anna. – Kawał grosza. – I znowu salwa śmiechu.

– Wybieramy do grania takie utwory, które są ludziom znane. To jest muzyka klasyczna, ale popularna. Gramy też muzykę filmową – mówi pan Jacek.

– Ania wspominała, że marzyła, by zagrać w orkiestrze, a ja pamiętam, że jak kończyłem średnią szkołę muzyczną, to tak jak każdy instrumentalista musiałem zagrać koncert z orkiestrą. Na roku było nas ośmiu pianistów i nie było mowy, by orkiestra grała z nami osiem koncertów fortepianowych, więc to się grało z profesorem, który udawał orkiestrę. Nie przypuszczałem, że minie czterdzieści lat i będę z Lesznowską Orkiestrą Symfoniczną mógł zagrać swój koncert.

– No widzisz, marzenia się spełniają – podsumowuje pani Ania.

– To może i kolejne się spełni, bo teraz naciskam tego młodego człowieka – tu pan Jacek wskazuje na dyrygenta orkiestry, Arkadiusza Górkę – że chciałbym zagrać z naszą orkiestrą *Błękitną rapsodię* George’a Gershwina. Obiecał mi, że do tego dojdziemy.

– Ja też chciałbym to zrobić – mówi pan Arkadiusz, absolwent Wydziału Dyrygentury Choralnej Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina – ale to jest naprawdę trudne.

– Trzy lata temu, gdy zbliżało się pięćdziesiąte orkiestry, dziewczyny wymyśliły, żeby każde z nas zagrało solówkę, i wtedy pierwszy raz wyjęliśmy kawałek *Tańców połowieckich* Aleksandra Borodina. Został opracowany fragment dla naszej oboistki, by mogła zagrać solo. I to się nam na tyle podobało, że pomyślałem, by cały utwór opracować, tylko nie przypuszczałem, że ten młody człowiek jest w stanie nauczyć naszą orkiestrę wszystkich czterech tańców.

Że nauczy nas trzech tańców, wierzyłem, że nauczy czterech – nie bardzo. Ale ponieważ to zrobił, wierzę, że *Błękitną rapsodię* zagramy.



...jesteśmy otwarci na nowych muzyków

Młody człowiek

– Arek jest z nami od roku. Nie pozwala na próbie gadać, tylko każe grać – mówi pani Magda.

– Pracowałem kiedyś w Zespole Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej – opowiada dyrygent. – Tam też przez jakiś czas pracował Mariusz Kolinko, pierwszy dyrygent lesznowskiej orkiestry. Któregoś dnia zadzwonił do mnie, powiedział, że nie może pogodzić zajęć w szkole Yamahy, którą otworzył, z zajęciami z orkiestrą, i musi odejść. Zapytał, czy może mnie polecić, i tak trafiłem do Lesznowoli.

– Zawsze było zmartwienie, czy będziemy mieli dyrygenta, i nagle zjawił się młody, sympatyczny Mariusz i chciał z nami pracować. Potem zjawił się Arek i znowu szok. Bez nich nic byśmy nie zrobili.

– Lesznowska orkiestra to dla dyrygenta skarb, bo niewiele jest takich orkiestr. Jeśli ktoś kocha muzykę i żyje muzyką, jest to właściwe dla niego miejsce. Szukamy perkusisty, bo wprawdzie gościnnie występuje u nas Mariusz Pułanecki, inżynier lotnictwa, ale chcielibyśmy kogoś mieć na stałe. Może zdecyduje się Mariusz, a jak ktoś przeczyta ten tekst i będzie miał ochotę dołączyć do naszej grupy, to zapraszamy – mówi pan Arek.

– Cały czas martwimy się, że jest nas trochę za mało. Wystarczy, że ktoś ma jakąś rehabilitację czy umówione spotkanie, którego nie może przełożyć, i już gramy w okrojonym składzie. Kiedy będzie pan o nas pisał, proszę wspomnieć, że jesteśmy otwarci na nowych muzyków i chętnie przyjmujemy koleżanki i kolegów do naszego towarzystwa. Może razem wystąpimy w czerwcu w corocznym koncercie dla mieszkańców naszej gminy, na który już dziś w imieniu orkiestry zapraszamy – mówi pani Magda. ■



...jeśli ktoś kocha muzykę i żyje muzyką, jest to właściwe dla niego miejsce

fot. Andrzej Skrzypek

Zaczynałem od żaka



– Łatwo nie było. Po dwóch chudych latach gry w B klasie, w sezonie 2017-2018 wyznaczaliśmy sobie cel. Powrót do klasy A. Od sierpnia 2017 roku pracowaliśmy bardzo intensywnie. Dwudziestu paru chłopakom chciało się grać i wygrywać. Przez cały sezon byliśmy w czubie tabeli – opowiada Rafał Wiśniewski. – O awansie zdecydowały dwa ostatnie wygrane mecze: 4:3 z drużyną Sobienie Jeziory i 7:0 z Parysowem.

Gdy w grudniu usiedliśmy razem z naszymi rodzinami i bliskimi przy wigilijnym stole, nastrój był całkiem inny niż w poprzednim roku. Dla takich chwil warto pracować i warto grać.

Chciałem grać

– Do szkoły chodziłem w Mrokowie. Od małego nie rozstawałem się z piłką, ale kiedy miałem dziesięć lat, w piątej klasie podstawówki powiedziałem rodzicom, że już nie chcę kopać piłki na podwórku, tylko chcę grać w klubie. W jakim? Oczywiście w Legii Warszawa.

Ponieważ od małego byłem samodzielny, pojechaliśmy z kolegą na Legię. Wyprawa nie była udana. Usłyszałem, że mieszkam za daleko, że nie będę chodził regularnie na zajęcia, więc nie mogą mnie przyjąć i nie przyjęli.

Nie zraziłem się pierwszym niepowodzeniem, tylko zapukałem do

innego klubu. To był klub Gwardia Warszawa. Ale tam też się na mnie nie poznali – śmieje się pan Rafał. – Powiedzieli, że zamiejscowych nie przyjmują.

To oczywiście było bardzo niesprawiedliwe, bo ja nie widziałem różnicy między miejscowym czy zamiejscowym. Chciałem grać i byłem zdeterminowany, żeby jeździć na treningi do Warszawy. W naszej gminie nie było kiedyś tak jak dziś, że jest akademii piłkarska, a co szkoła, to klub.

Szukałem dalej. Nie chcieli mnie w Legii, nie chcieli w Gwardii Warszawa, ale przyjęli do Wolskiego Robotniczego Klubu Sportowego Olimpia Warszawa na Górczewskiej. Pojechałem do Olimpii, w której grał mój o dwa lata ode mnie starszy cioteczny brat, i dostałem się bez problemu.

To był maj. Przyszedłem na pierwszy trening i coś trener we mnie zobaczył. Byłem jedynym chłopakiem spoza Warszawy, a mimo to nigdy nie opuściłem treningu. Gdy w ciągu kilku lat raz nie przyszedłem na trening, wszyscy pytali: „Co się stało? Gdzie jest Wiśnia?”. Na trening przychodziłem zawsze pierwszy i zawsze wychodziłem ostatni.

Zaczynałem od żaka, potem przeszedłem do trampkarzy, juniorów młodszych, starszych i dalej. Gdy skończył się wiek juniora, założono w Olimpii drugą drużynę, żebyśmy mieli gdzie grać, bo chętnych było wielu. Pamiętam, jak w pierwszym sezonie tej drużyny złapaliśmy wiatr w żagle i wygrywaliśmy mecz za meczem. Tak byliśmy wytrenowani, że kosiliśmy wszystkich.

W jednym sezonie strzeliłem trzydzieści bramek i zostałem dooptowany do pierwszego zespołu Olimpii. Najpierw graliśmy w lidze okręgowej, a później awansowaliśmy do czwartej ligi, następnie do trzeciej i walczyliśmy, niestety bez powodzenia, o wejście do drugiej.

Pamiętam też swoją radość, gdy pojechałem z klubem na pierwszy obóz treningowy. W Olimpii, żeby być akceptowanym, żeby mieć prestiż, trzeba było pokazać chłopakom z Woli i z Bemowa piłkarski charakter. Pokazać, że jest się lepszym od innych. I te cechy u mnie dostrzegł trener. Zostałem nawet kapitanem drużyny.

W szkole w Mrokowie też się wyróżniałem umiejętnościami i charakterem na boisku. W szkolnym dniu sportu brali udział uczniowie od piątej klasy, ja byłem w czwartej, ale nauczyciel WF-u Jacek Kitliński wiedział, że mam większe umiejętności piłkarskie niż jeden ośmioklasista, więc jakoś tak załatwił, że wystawił mnie do konkursu żonglerki. Chłopaki podbijali futbolówkę po dziesięć, piętnaście razy, a ja przez godzinę podbiłem piłkę trzysta pięćdziesiąt razy i skończyłem dopiero wtedy, gdy wiara zaczęła krzyczeć: „Daj już spokój”. Tak samo było w szkole średniej.

Uczyłem się i dojeżdżałem po szkole na treningi do Warszawy. Idąc do szkoły, zabierałem cały treningowy majdan ze sobą i po szkole szedłem dwa kilometry na przystanek, wsiadałem w autobus i jechałem półtorej godziny na trening. Nie ważne, czy śnieg, mróz, czy deszcz. Ważny był trening. Jeździłem

Nazwa klubu piłkarskiego – Walka Kosów – zobowiązuje. Może dlatego tak ważny był wywalczony w ubiegłym sezonie awans do piłkarskiej A klasy. Ważny dla trenera Rafała Wiśniewskiego, zawodników, ich rodzin, działaczy klubu i kibiców.

AWANS DO A KLASY
W SEZONIE
2017/2018

CZERWIEC
WALKA KOSÓW

fot. z archiwum prywatnego Rafała Wiśniewskiego



co pół roku na obozy. Z trampkarzami i juniorami rozgrywaliśmy mecze w lidze okręgowej, jeździliśmy na mecze z drużynami w Polsce – do Białegostoku, Suwałk, Olsztyna.

Trenowałem i uczyłem się. Nie byłem jakimś wyróżniającym się uczniem, ale nie zawałałem nauki. Miałem satysfakcję, że choć nie byłem z Warszawy, jakoś potrafiłem się przebić i mieć wśród chłopaków autorytet. Byłem dla nich po prostu Wiśnia.

Kilka razy chłopaki z Mrokowa mówili do mnie: „Rafał, my też chcemy tak jak ty trenować w klubie”. Jechali ze mną i po dwóch, trzech treningach rezygnowali, bo to dla nich było za daleko. Naprawdę trzeba było mieć charakter, być wytrwałym, żeby w takich warunkach trenować.

Mnie to sprawiało ogromną frajdę i gdy patrzę na swojego syna, który też gra w piłkę, chciałbym, żeby jemu to sprawiało taką radość, jaką gra w piłkę sprawiała mi. Dziś dzieciaki swoją przygodę z piłką nożną zaczynają już w zerówce, my zaczęliśmy znacznie później. Ja jeździłem na treningi sam, mojego syna tak jak inni rodzice zawożę i przywożę z treningu, i cieszę się, że trenuje.



Żegnaj, piłkarska kariero

– Kiedy miałem dziewiętnaście czy może dwadzieścia lat, chciałem grać trochę bliżej domu. Zacząłem pracować i szkoda mi było czasu na dalekie jazdy na treningi. Jako wolny zawodnik z kartą zawodniczą w rękę odszedłem z Olimpii i zacząłem grać w Gminnym Ludowym Klubie Sportowym w Nadarzynie. Z Mrokowa do Nadarzyna było znacznie bliżej niż na Górczewską.

Wtedy w Nadarzynie dobrze się działo. Awansowaliśmy do ligi okręgowej i kierownictwo ściągnęło do drużyny kilku markowych piłkarzy. Ale w życiu już tak jest, że nie może być za dobrze. Kiedy trener Nadarzyna, który doprowadził drużynę do ligi okręgowej, odchodził trenować zespół w Grodzisku Mazowieckim i chciał mnie ze sobą zabrać, przydarzyła mi się poważna kontuzja kolana.

Lekarz powiedział, że mam dwa wyjścia: poddać się operacji lub na jakiś czas powiesić piłkarskie buty na kołku. Wybrałem drugie wyjście i to był koniec mojej nie do końca spełnionej piłkarskiej kariery. Przerwa trwała dwa lata, a wiadomo, jak to jest po takim intensywnym uprawianiu sportu, zwolnieniu tempa i przejściu na spokojny tryb życia. Zacząłem tyć. Bardzo przytyłem.

Po dwóch latach, w 2007 roku spróbowałem trochę grać w Walce Kosów, ale to już nie był ten Wiśnia

co dawniej. Przemyślałem sprawę i postanowiłem zająć się trenerką. Piękne wspomnienia po latach gdy byłem zawodnikiem, zostały, a zaczęła się moja nowa sportowa przygoda. Zrobiłem kurs trenerski PZPN, a teraz skończyłem kurs trenerski drugiego stopnia UEFA B.

Miałem już rodzinę, pracę, nawet próbowałem studiować na AWF, ale nie dało się tego wszystkiego pogodzić i po pół roku zrezygnowałem ze studiów. Dziś mogę tylko wspominać, że w ławce za mną siedział Paweł Nastula, mistrz olimpijski w judo z Atlanty w 1996, dwukrotny mistrz świata, trzykrotny mistrz Europy, trzynastokrotny mistrz Polski.

W Jastrzębcu na przeciwko Instytutu Genetyki i Hodowli Zwierząt PAN kupiłem mały sklepik spożywczy. To zabawne. Kiedyś patrzyłem na ten sklepik i marzyłem, że chciałbym go mieć. Właścicielem sklepiku był starszy pan, mieszkaniec Warszawy, który znał mnie od dziecka. Często, gdy kończył pracę w sklepie, zabierał mnie do samochodu i podwoził na treningi do Warszawy. Któregoś dnia zapytał: „Rafał, czy nie chciałbyś kupić ode mnie tego sklepu, bo ja już jestem trochę zmęczony tymi dojazdami?”.

I w ten sposób dwadzieścia lat temu, jako dwudziestolatek zostałem właścicielem sklepiku, który prowadzę do dziś.

Trener Walki Kosów

– Któregoś dnia, zimą 2012 roku, złożyli mi wizytę koledzy, działacze z Walki Kosów. Zaproponowali, bym został trenerem drużyny. Wtedy klub grał w A klasie. Dokończyliśmy rundę 2012-2013 i choć było bardzo trudno, utrzymaliśmy się w A klasie. Przyszły dwa kolejne ciężkie sezony. Ja się uczyłem jako trener, chłopaki się uczyli, doszli nowi chłopcy z Głoskowa i okolic. Był zespół, a czegoś brakowało. Brakowało przede wszystkim zaangażowania i motywacji. Niby chcieli grać, ale jak przychodziło co do czego, to odnosiło się wrażenie, że nie za bardzo im się chce.

Muszę uczciwie powiedzieć, że to nie zawsze była ich wina. Trochę szwankowała organizacja, wiecznie brakowało pieniędzy, bo wiadomo, że amatorskie granie to nie piłka zawodowa, która ma wsparcie bogatych sponsorów. Zawsze na coś brakowało pieniędzy, bo jeszcze wtedy Gminne Centrum Sportu nie pomagało nam tak, jak robi to dziś.

Teraz centrum sportu zajmuje się naszym obiektem, a wtedy wszystko było na głowie zarządu klubu. Na samym początku ja byłem od trenowania chłopaków, a zarząd, Czarek Sarnowski, który był wtedy prezesem klubu, od organizacji wszystkiego. Przez dwa lata z wielkim wysiłkiem utrzymywaliśmy się w tabeli A klasy, ale cały czas wierzyłem w chłopaków i żyłem



nadzieją, że uda nam się razem coś zrobić. Niestety, nie wychodziło.

Rok 2015 był dla nas najgorszy. Spadliśmy do klasy B. Z początku wydawało się, że to chwilowy wypadek przy pracy i w kolejnym roku wywalczymy z powrotem awans do A klasy. Jednak w życiu nie zawsze jest tak, jak byśmy chcieli, i życie zwerfykowało brutalnie nasze nadzieje. Graliśmy w B klasie przez dwa lata.

W pierwszym roku wylądowaliśmy pod koniec tabeli. W drugim jakoś trafiłem do chłopaków, że trzeba się bardziej przyłożyć, więcej trenować i zaczęli grać z meczu na mecz coraz lepiej. Pod koniec roku zajmowaliśmy piąte miejsce w tabeli. Błysnęła szansa na powrót do A klasy. Chłopaki zaczęli nabierać wiary, że ten cel jest do osiągnięcia. Żona mnie wspierała i mówiła: „To się musi udać.”

W kolejnym sezonie doszło do drużyny kilku dobrych piłkarzy i uwierzyliśmy, że w 2018 roku wrócimy do klasy A. Tak się stało. Stworzyłem zespół dwudziestu paru chłopaków, którzy chcieli grać i chcieli pokazać, że A klasa jest w zasięgu Walki Kosów.

Pod koniec rundy byliśmy na trzecim miejscu, ale dwa ostatnie mecze wygrane wysoko z drużyną Sobienie Jeziory i Parysowem dały nam zwycięstwo. Wyprzedziliśmy największego rywala KS Wilanów i jesteśmy w A klasie. Ubiegły rok był dla nas szczęśliwy. Zajmujemy piąte miejsce w tabeli. Zawodnicy przekonali się, że angażując się tylko na pół gwizdka, nie można liczyć na sukces. Ja postawiłem sobie za cel, że jako trener muszę wrócić do trenowania A-klasowej drużyny, i robiłem wszystko, by tak było.



...kiedyś patrzyłem na ten sklepik i marzyłem, że chciałbym go mieć

*...Walka Kosów jest teraz
zespołem, który ma w swoim
zasięgu ligę okręgową*



Walka Kosów jest teraz zespołem, który – jeśli chłopcy jeszcze się więcej przyłożą, jeśli będą więcej trenować – ma w swoim zasięgu ligę okręgową. Już w meczach sparingowych ogrywamy drużyny z okręgówki.

W klubie nie tylko jestem trenerem, ale też sekretarzem. Prezesem jest Adam Perzyna, człowiek od zawsze z klubem związany. Mamy nadzieję, że przy wsparciu gminy, z której mamy dotację, dzięki składkom i życzliwości miejscowych sponsorów, będzie w klubie coraz lepiej.

Dziś, gdy wychodzimy na boisko, widać, że jesteśmy drużyną. W tym roku gramy na niebiesko i naprawdę świetnie się chłopaki prezentują, a to także ma w sporcie wielkie znaczenie. Mam czterdzieści jeden lat, dwoje dzieci i żonę, która jest cierpliwa, pozwala mi robić to, co kocham, i bardzo mnie wspiera. Na jej głowie jest wychowywanie dzieci i większość pracy papierkowej, którą trzeba w klubie wykonać. Mamy nadzieję, że ten rok będzie dobrym rokiem naszej Walki Kosów. ■



*...gdy wychodzimy na boisko,
widać, że jesteśmy drużyną*

RĘCZNA ROBOTA



Janusza Betę, człowieka wielu pasji, przedstawiliśmy Czytelnikom w trzydziestym numerze „mojej Lesznówoli” w tekście pod tytułem „Kosztowna miłość”. Pisaliśmy wtedy o miłości pana Janusza i jego żony Joanny do motocykli, ale też zasygnowaliśmy, że o innych pasjach napiszemy w kolejnym numerze. Wśród nich zbieranie bagnetów i robienie noży. Obiecaliśmy, że o tym napiszemy i obietnicę spełniamy. Słowo się rzekło.

– Zaczę od tego, że moje zainteresowanie nożami zaczęło się bardzo dawno temu – mówi pan Janusz.
– Jeszcze wtedy, gdy jako mały chłopak wyjeżdżałem z rodzicami na wakacje, które zawsze spędzaliśmy na biwakach. A na biwakach, jak wiadomo, potrzebne były noże i siekierki, żeby ten biwak zorganizować. Mnie nóż był potrzebny do strugania łódek z kory, robienia łuków i cięcia patyków na strzały.

Nóż z pilnika

– W czasach głębokiej komuny marzyłem o składanym nożu Gerlacha, który miał czerwone okładki, a między nimi schowaną piłkę, korkociąg, szpikulec i duże, blokowane ostrze. Miał jeszcze chomątko, żeby można było nóż przywiesić do paska.

Miał taki nóż mój kuzyn i bardzo mu tego zazdrościłem, bo w moim zasięgu były tylko jakieś koziki. O tym, żeby samemu zrobić taki nóż, nie było co myśleć, bo ani potrzebnej wiedzy, ani umiejętności nie miałem.

Czas mijał, człowiek rósł, uczył się i o nożu Gerlacha nie myślał. Poszedłem do pracy w Instytucie Lotnictwa, bo jestem z zawodu technikiem elektronikiem, ale ponieważ słabo płacili, szybko zmieniłem pracę i jako ślusarz zacząłem pracować w prywatnym zakładzie mechanicznym.

Pracowałem tam prawie dziesięć lat i nauczyłem się obróbki metali, obsługi maszyn, ale przede wszystkim nauczyłem się pracować narzędziami ślusarskimi. Wiele dowiedziałem się o metalach i ich właściwościach.

Wtedy zrobiłem sobie pierwszy nóż. Mam go do dziś. Nóż ze starego pilnika. Może jeszcze nieporadny, może niebędący powodem do dumy, ale mój pierwszy. Uszyłem do niego skórzany pokrowiec i prawdę mówiąc, wolę go z pokrowca nie wyjmować, bo przy tych nożach, które robię teraz, jest jak nóż z dalekiej epoki.

Dość szybko doszedłem do wniosku, że aby robić dobre noże, trzeba mieć wiedzę i tej wiedzy szukałem. Nie jest bowiem sztuką wyskrobać coś z kawałka blachy, ale zrobić nóż zgodnie ze sztuką, zgodnie z całym dość skomplikowanym procesem obróbki, w tym obróbki termicznej.

Pierwsze moje noże zacząłem robić z gotowych, utwardzonych stali, na przykład z ostrzy do heblarek – zarówno tych ręcznych, jak i stołowych. Ale po kolei.

Pierwszy stopień wtajemniczenia

– Wszystko zaczyna się od projektu, który najpierw powstaje w głowie, a potem na papierze. Przede wszystkim musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, do czego ten nóż ma służyć. Czy to ma być nóż kuchenny, myśliwski do obrabiania zwierzyny, nóż do survivalu, czyli sztuki przetrwania, a może po prostu, jak ja to nazywam, „nóż do mienia” – żeby taki mieć. Każdy będzie inny, inaczej skonstruowany. Każdy z innym ostrzem.

...skonstruowałem kilka urządzeń, które zastępują żmudną, ręczną robotę

Gdy już mam w ręku pasek metalu, z którego mam zrobić nóż, przyglądam mu się z dziesięć razy i kombinuję, co z niego można zrobić.

Kiedyś projekty moich noży wycinałem z papieru. Teraz wycinam z cienkiej, ocynkowanej blachy. Chodzi o to, by projekt był trwały, gdyż nigdy nie wiadomo, czy za jakiś czas nie będę musiał zrobić dla kogoś takiego samego egzemplarza.

Gdy model zostanie wybrany, zaakceptowany, następuje etap żmudnej pracy, polegający przede wszystkim na umiejętnym szlifowaniu stali. Mówię „umiejętnym”, bo chodzi o to, by szlifując, stali nie przypalić, nie przegrzać. By się nie spieszyć i robić wszystko wolno i z wyczuciem.

Gdy stal jest wyszlifowana, trzeba wywiercić w niej otwory, które będą potrzebne przy oprawianiu rączki

czy – jak kto woli – osadzeniu noża w rękojeści drewnianej, metalowej lub z tworzywa sztucznego.

Muszę przyznać, że początkowo miałem w tym niezły problem, bo wiertłem do metalu w utwardzonej stali otworów wywiercić się nie da. Wiertło się ślizga i pali. Wiedziałem, że są do tego specjalne wiertła, ale okazało się, że słono kosztują, więc szukałem innego rozwiązania. Kupiłem za sześć złotych wiertło do betonu. Naostrzyłem na szlifierce tak, jak są ostrzone wiertła do metalu. Tarcza przy tym ostrzeniu do połowy zeżarta, bo twarde to jak cholera, ale okazało się, że wiertło pracuje bardzo dobrze.

Gdy otwory są wywiercone, przystępuję do drugiego etapu szlifowania, po którym następuje polerowanie noża.

Ponieważ moje noże są ze stali węglowej, która według mnie ma lepsze właściwości tnące, ale rdzewieje,

poleruję ją na lustro. Im mniej porów będzie na powierzchni noża, tym mniejsze prawdopodobieństwo rdzy. Polerowanie odbywa się za pomocą polerki, przy użyciu filcu i pasów polerskich. Tu się pochwalę, że do produkcji noży skonstruowałem sobie kilka urządzeń, które z powodzeniem zastępują żmudną, ręczną robotę.

Gdy nóż jest wypolerowany, trzeba do niego zrobić z odpowiedniego materiału rączkę. Robię rączki głównie z drewna jabłoni, gruszy, orzecha. I tu znowu trzeba zrobić projekt, wyciąć, wyszlifować, wypolerować, umocować i skleić żywicami przez piny. Potem jeszcze wypolerować i na końcu uszyć ręcznie pochewkę ze skóry.

Gdy praca jest już na ukończeniu, żona mówi: „Lepiej byś się wziął za oprawienie okien, bo wieje, a nie szyjesz ubranka dla swoich noży”. I tak to mniej więcej wygląda. Życ się z tego nie da, ale satysfakcję można mieć.



Drugi stopień wtajemniczenia

– Gdy opanowałem robienie noży ze stali twardych, ktoś mnie zapytał, czy będę kiedyś robił noże prawdziwe. Wiedziałem, o co mu chodzi, więc odpowiedziałem, że gdy przyjdzie czas, to pewnie będę. No i czas przyszedł. Zacząłem robić noże, do których sam hartowałem stal. Wybudowałem niewielką kotłnię kowalską, w której stal rozgrzewam w palenisku, zrobiłem stanowisko do hartowania, wziąłem resor od małego fiata i spróbowałem.

Najpierw zacząłem jak zwykle od zdobywania wiedzy na temat hartowania stali. Żeby odpowiednio stal nagrzać, żeby nie przegrzać, umieć odpuścić i tak dalej. Zacząłem studiować tabelę kolorów rozgrzanej stali, bo według kolorów można określić jej temperaturę. Oczywiście najlepiej robić to w nocy, bo dobrze widać kolory i gdy kolor będzie odpowiedni, trzeba przerzucić rozgrzany kawałek do kąpielii olejowej o temperaturze siedemdziesięciu stopni.

Po zanurzeniu resora w oleju, na skutek różnicy temperatur często robi się z niego rogal, więc trzeba szybko rogal wsadzić do prostownicy i wyprostować. Jak ostygnie, to już tego nie zrobimy.

Gdy jest prosty, wkładam go na dwie godziny do piekarnika o temperaturze dwustu stopni i po tym czasie jest odpuszczony.

Tu muszę wspomnieć, że kawałek resora, który hartuję, nie rozgrzewam bezpośrednio w palenisku, tylko w osłonie z rury, żeby nie narażać stali na zbyt duże odwęglanie, co skutkuje powstawaniem wżerów, które potem musiałbym zeszlifować.

Ze stali miękkiej noże robi się szybciej, bo nie trzeba tak bardzo uważać przy szlifowaniu. Potem wszystko robimy tak samo jak przy nożach ze stali twardej. Rączka, pochewka i gotowe.



Takie to robią wszyscy

– Któregoś dnia znajomy oglądał moje noże i gdy ja oczekiwałem pochwały, on pokręcił głową i powiedział: „Takie to wszyscy robią. Zrób nóż składany”. I to było prawdziwe wyzwanie. Znowu zajrzałem do literatury, przewertowałem internet i znalazłem noże składane robione na Sycylii.

Znalazłem piętnastocentymetrowy kawałek noża od heblarki, ale jak zrobić mechanizm blokowania? Znalazłem wzór w nożu z Nowej Zelandii. Po rozłożeniu, dopóki trzyma się nóż w ręku, to się nie złoży. I zrobiłem taki mały nóż, który jest bardzo poręczny i uniwersalny. I do grzybków, i do gałęzi. Ciągle mnie jednak męczył ten nóż sycylijski. Długi, około czterdziestu centymetrów, i z blokadą.

Męczył mnie tak długo, że go wreszcie zrobiłem. Zrobiłem po to, by mieć i cieszyć się, że potrafiłem go zrobić.



*...zbieranie bagnetów
to też jedna z moich pasji*

Bagnety

– O, widzę, że interesują państwa moje bagnety. Ich zbieranie to też jedna z moich pasji. Kolekcja nie jest kompletna, bo wiele w niej brakuje. Są tu bagnety francuskie, do karabinów Grasa, belgijskiego Mausera, brytyjskiego Enfielda i inne.

Doszedłem w pewnym momencie do wniosku, że powinienem się ukierunkować na jakiś konkretny model, bo mi w przeciwnym wypadku ściany zabraknie. Skupiłem się na bagnietach do karabinu Mauser K-98 i dziewięćdziesiąt procent tych bagnetów to broń do tego karabinu.

Jest kilka sztuk bagnetów argentyńskich, niemieckich i czeskich, są bagnety grawerowane z pierwszej wojny światowej i późniejsze, ale to już opowieść na inną okazję. ■

Świat się bawi

Choć za oknem białoszara zima, w kalendarzu okres kolorowego karnawału. Bale, maskarady, pochody i zabawy przetaczają się przez kulę ziemską od Rio de Janeiro po Wenecję. Pod osłoną wielobarwnych masek, przyodziane w pióra, roztańczone tłumy porywają do tańca.

Zanim nastanie pora Wielkiego Postu, można kulinarnie zgrzeszyć.

Na karnawałowym stole królują kolorowe przystawki, sałatki, koreczki, małe przekąski, tartaletki i kanapeczki. Ma być szybko i lekko, bo między jednym a drugim tańcem nie ma czasu na zasiadanie przy stole.

I nie zawsze musi to być wielka sala balowa z serpentynami, bo liczy się przede wszystkim dobre towarzystwo i miła atmosfera. A gdy przy okazji można coś smacznego zjeść, to dobre wspomnienia murowane.

Dziś podpowiadamy kilka przepisów na polskie zapusty.

KOLOROWA SAŁATKA Z KREWETKAMI

SKŁADNIKI

mix kolorowych sałat, kolorowe małe papryczki, zielone oliwki, pół kubeczka jogurtu, pół kubeczka śmietany (może też być majonez), 1 łyżka zielonego pieprzu w zalewie, szczypta soli, opakowanie mrożonych surowych krewetek

Umyj liście sałaty i dobrze osusz. Papryczki pokrój w krążki. Jogurt wymieszaj ze śmietaną i solą. Krewetki wrzuć do wrzącej wody i gotuj przez 1-2 minuty. Wyjmij i poczekaj aż wystygną. Sałatkę przełóż do salaterki. Dodaj do niej zielone oliwki, krążki papryczki. Dołóż ugotowane krewetki i kilka ziaren zielonego pieprzu. Na wierzch połóż kleks śmietanowego sosu i lekko popierz całość.





CARPACCIO Z KAPARAMI

SKŁADNIKI

polędwica wołowa, sos worcester, ocet balsamiczny, sól, pieprz, pęczek bazylii, zielone oliwki w zalewie, kapary w zalewie, oliwa

Surową polędwicę podziel na kawałki długości ok. 15 centymetrów. Oprósź pieprzem i zawień w folię spożywczą jak cukierek, skręcając mocno końce. Włóż do zamrażarki. Każda porcja może posłużyć do zrobienia szybkiego carpaccio. Kiedy mięso się zamrozi, wyjmij porcję, odwiń z foli i pokrój na krajalnicy na cieniutkie plasterki. Rozłóż na talerzu. Posól i popieprz. Obsyp pokrojonymi w paseczki zielonymi oliwkami, kaparami i listkami bazylii. Do słoiczka wlej: 3 łyżki oliwy, 2 łyżki sosu z marynaty, w której były oliwki i 2 łyżki marynaty, w której były kapary. Dodaj do smaku 2 łyżki octu balsamicznego i sosu worcester. Zakręć słoiczek i wstrząśnij, żeby składniki dobrze się wymieszały. Polej rozłożoną na talerzu polędwicę. Podawaj z grzankami.



KRAKERSY Z ZIOŁOWYM TWAROGIEM

SKŁADNIKI

opakowanie krakersów, 250 g śmietankowego twarogu, 3 łyżki śmietany, kolorowe papryczki, 1 łyżeczka soku z cytryny, pęczek szczypiorku, kilka czarnych oliwek, 2 łyżki posiekanych ulubionych ziół (pietruska, koperek, tymianek), szczypta pieprzu cayenne, szczypta cukru, sól do smaku

Twaróg wymieszaj ze śmietaną, sokiem z cytryny, pieprzem cayenne, cukrem i ziołami. Dodaj sól do smaku. Twarożek przełóż do szprycy i wyciśnij na krakersy. Każdy krakers udekoruj kolorowymi papryczkami i oliwkami pokrojonymi w paski. Obsyp drobno posiekanym szczypiorkiem.



PIEROŻKI Z CIASTA FRANCUSKIEGO Z SEREM

SKŁADNIKI

opakowanie ciasta francuskiego, 100 g utartego sera gruyère, 2 jajka, 1 żółtko, 30 g masła, szczypta soli, szczypta pieprzu cayenne, sok z jednej cytryny, 3 łyżki posiekanej pietruszki

Ser wymieszaj z dwoma jajkami, szczyptą soli, pieprzu cayenne, pietruszką i sokiem z cytryny. Dodaj roztopione i lekko przestudzone masło. Wszystko wymieszaj. Z ciasta wytnij krążki. Na środek każdego połóż serową masę i ulepi pierożki, smarując brzegi ciasta zimną wodą. Dobrze zlep ze sobą brzegi, żeby farsz nie wypadł. Pierożki posmaruj rozmąconym żółtkiem. Wstaw do piekarnika nagrzanego do 200 stopni i piecz, aż będą złociste (około 12 minut).



KREWETKI W AWOKADO

SKŁADNIKI

mrożone surowe krewetki, dojrzałe owoce awokado, 3 łyżki majonezu, 3 łyżki gęstej śmietany, 1 łyżeczka soku z cytryny, 2 łyżki whisky, sól, szczypta białego pieprzu, koperek

Rozmrożone krewetki wrzuc do wrzącej wody i gotuj przez 1-2 minuty. Wyjmij i przestudź. Awokado umyj i przekrój na pół. Wyjmij pestkę. Za pomocą łyżki wydrąż owoce tak, by pozostały dosyć grube ścianki. Połówki awokado skrop cytryną. Wydrążony miąższ pokrój w kostkę. Majonez wymieszaj ze śmietaną, solą, pieprzem i whisky. Koperek drobno posiekaj i dodaj do sosu. Kostki awokado wymieszaj z majonezowym sosem i krewetkami. Sałatką wypełnij połówki awokado.

*„Wpatrz się głęboko, głęboko w przyrodę,
a wtedy wszystko lepiej zrozumiesz”.*

Albert Einstein

